

ŻRODYŃ OŚWIĘTA

AMNESTIA

NR 13-14

KRAKÓW

V-VIII.1984

100 zł

amnestia

W numerze: _____

JAN GÓRECKI w nasze 4-lecie;
dyskusja w redakcji MN ;
JĘDRZEJ BORUTA kremlowski
cyrk ; WICEK I WACEK passé ;
GRANIT wiersze

W NASZE 4-LECIE . . .

Radosna twórczość ustawodawcza sejmiku PRL stworzyła nam perspektywy jeszcze bardziej przygnębiające, niż niegdyś jeździ wprowadzenie stanu wojennego. Stan wojenny jest bowiem z natury rzeczy czymś przejściowym, niezwykłym, nienormalnym, patologicznym. Sparaliżowane przemocą społeczeństwo nastawia się wtedy mimo woli na przeczekanie, żyje nadzieją "zwyczajności" i powrotu do jakiejś tam - różnie zresztą pojmowanej - normy.

Trudno było oczywiście spodziewać się zmian na lepsze i nikt rozsądny tego nie czynił. Wręcz przeciwnie - wiedzieliśmy, że "aparatus" /obejtnie - partyjny, wojskowy czy biurokratyczny/ zrobi wszystko, by z wygranej wojny wyciągnąć dla siebie maksimum korzyści i zabezpieczyć się przed widmem Sierpnia, że władza zrezygnuje z ostatnich prawnych fikcji swobód ludzkich i obywatelskich, że zdobywca grudniowe wejść na stację do polskiego ustawodawstwa, że naga przemoc przyodzieje się w nobilitację szaty prawa i "nadzwyczajne" środki będą odąd służyć "normalnej" praktyce.

Zawód i frustracja znacznej części społeczeństwa mogą się wydać pewnym zaskoczeniem. Czyżby - mimo wszystko - tliły się w nas resztki wiary w cuda lub - po prostu - optymizmu? Nie byłoby w tym nic dziwnego, zwąszywszy, że optymizm /sc. nadzieja/ stanowi niezwykły warunek życia zarówno jednostek, jak i zbiorowości. Czym innym jest w końcu prognoza i jej realizacja, oczekiwanie na wyrok i jego ogłoszenie.

Na szczególne świadomość, że wcale nie musimy biernie poddawać się wyrokom losu, Moskwy czy Jerozolimki jest nadal powszechna i dostatecznie ugruntowana. Wszak nie pierwszy to raz w dziejach potraktowano walczący o swe elementarne prawa naród jako bandę potencjalnych przestępców, wymagającą specjalnego nadzoru. Oczywiście dla dobra tegoż Narodu, który najwyraźniej uległ jakiejś zbiorowej, samobójczej psychozie i zechciał samowolnie zdecydować o swoim losie. Nie po raz pierwszy zaszywano nam też ocelonie i kaftan bezpieczeństwa.

Z punktu widzenia naszych wewnętrznych i zewnętrznych opiekunów szaleńcem jest bowiem każda jednostka, która buntuje się przeciw NAJLEPSZEMU USTROJOWI NA ŚWIECIE /NUS/, podobnie jak obłąkany i niebezpieczny dla otoczenia jest naród, który nie chce uznać WIECZNEGO PORZĄDKU W EUROPIE.

tytuł od redakcji

Od dwóch pokoleń przekonywani, że świat zmienia się tylko do 1945 roku, że wszystko, co nastąpiło potem jest raz na zawsze ustalone i nie podlegające dyskusji, że ewentualne zmiany mogą oznaczać tylko zwycięstwo Światowej Rewolucji - zbyt może często i skwapliwie uciekamy się do historii w poszukiwaniu właściwej miary dla oceny teraźniejszości, albo po prostu emocjonalnego dystansu. Bo dopiero właściwy dystans umożliwia nam zakwalifikowanie aktualnej sytuacji do kategorii - dotkliwych wprawdzie - p o r a ż e k , nie zaś do k l ę s k ostatecznych. Rozpatrywane w skali życia jednostkowego wydarzenia ostatnich 40-50 lat mogą się wydać rozłożoną na raty Apokalipsą, w wymiarze tysiącletnich dziejów narodu są to jednak raczej "przejściowe trudności". Historia krzepi, choć nie z niej niezłomie i bezspornie nie wynika poza banalnym wnioskiem o przemijaniu wszystkiego, co w czasie istnieje i być może drugim /znacznie mniej już niestety oczywiście!/, że najłatwiej przegrzają ci, którzy tracą nadzieję, rezygnują z walki o przetrwanie dając sobie wzmówić, że "to już koniec" i "nie się nie da zrobić". Przegrzwa się ostatecznie nie siłą zwycięzcy, ale swoją słabością. Największym wrogiem zwycięzcy jest ich własna demoralizacja, zanik woli walki, spacja i śniechenie. A także chroniczna niemożność wyłączenia wniosków ze swych klęsk i porażek, nieumiejętność efektywnego przystosowania się do nowych sytuacji i "życie fikcją". Prędzej czy później nastąpić musi wówczas totalna dezorientacja /czyli całkowite ogłupienie/, rozkład wartości, marazm i zgoda na los, choćby najgorszy, ale traktowany jako nieuchronny i jedyny możliwy.

Niebezpieczeństwo czai się więc nie tyle na zewnątrz, ile wewnątrz każdego z nas, prawdziwą groźbę stanowią różnego rodzaju fatalizm i depresje, a nie kolejne posunięcia władz i koniunktury międzynarodowe. Dlatego - bynajmniej nie bagatelizując ekonomicznych i politycznych kryzysów wraz z ich tragicznymi konsekwencjami - skłonny jestem twierdzić, że największe zagrożenie naszego bytu narodowego tkwi nie w sferze gospodarki czy polityki, ale najszerzej pojętej kultury. Mam tu na myśli przede wszystkim aktualny stan świadomości społeczeństwa, utrwalone w PRL wzory zachowań, mentalność i morale Polaków lat osiemdziesiątych.

Sąd taki niełatwo wypowiedzieć, a jeszcze trudniej zaakceptować. Przywykliśmy bowiem uważać, że 40 lat komunizmu spłynęło po nas jak woda po kaczce, nie naruszając w niczym jakiejś tajemniczej, niemiędziej odpornej na wszystko substancji duchowej, która czyni Polaków narodem tak czy owak - wybranym, a w każdym razie zupełnie wyjątkowym.

Przekonanie owo - niewątpliwie absurdalne - jest przecież w naszych warunkach całkowicie zrozumiałe, i choć nie usasadnione obiektywnie, to subiektywnie usprawiedliwione. Ostatecznie musimy jakoś kompensować sobie nasze niepowodzenia w gospodarce i polityce, najłatwiej zaś uczynić to w sferze, która nie poddaje się właściwie weryfikacji, przyziemnej statystyce i w ogóle empirycznej kontroli. Brakuje nam wprawdzie filmów, książek, płyt, bibliotek, kin, teatrów i budynków szkolnych, ale przecież mamy Miłosza, Wajdę, Polańskiego, Olbrychskiego, Grotowskiego, Tomaszewskiego i Pendereckiego. No i przede wszystkim Jana Pawła II. W dziedzinie wartości niewymiernych spiszujemy się więc całkiem nieźle i gdyby tylko ci na górze i ci na Wschodzie nam pozwolili, niewątpliwie zaimponowalibyśmy światu również w innych konkurencjach. Ostatecznie mamy przecież "wspaniałych" robotników, "cudowną" inteligencję i sprawdzonych przez wiek chłopów.

Euforyczne obrzucanie się komplementami w okresie posierpniowym trudno jest niestety traktować poważnie; dowodzi ono o najwyższej ogromnej frustracji i kompleksów, które nagromadziły się w nas przez prawie dwa wieki, a zwłaszcza w olgu ostatnich dziesięcioleci. Upokorzenia, świadomość zacofania i dystansu do proudujących krajów świata, poczucie niższości i niezawinionej krzywdy - wszystko to musiało sacocować tylak

krzykliwą, co znalazła megalomanią. Tuż, tuż była "druga Japonia", duchowe przywództwo w środkowej /przynajmniej/ Europie i inne ouda społeczne, polityczne oraz gospodarskie, które być może pozwoliłyby nam zbawić ostatecznie nie tylko Polskę, ale i resztę przez komunizm uciemiężonych narodów z sąsiadami na oście. Na podciechę zostaliśmy - jak zwykle - "wy-rzuceni sumienia" i "kolejną niespełnioną nadzieją". A wydawało się, że jesteśmy u wrót szczytów, które jakoś cudownie się otworzą i natych-miast wejdziesz w nową epokę. Wystarczy tylko przepędzić paru ...synów /bo przeszkadzają/ i zmienić system /bo się nie sprawdził/, a reszta jakoś sama "normalnie" się ułoży. Wszystkiemu bowiem winni są wyłącznie "oni" oraz przez "nich" stworzony i utrzymywany "reżim". My zaś - trzy-dziesiąt parę milionów wspaniałych - zachowaliśmy jakimś cudem niewinność, czyste ręce i dusze, a także nienaruszoną zdolność myślenia i działania.

Przekonanie takie, choć higieniczne i wygodne, jest jednak nie-stety wewnętrznie sprzeczne. Ten bowiem, kto je żywi, mocą swego prześ-wiadczenia równocześnie jego słuszności zaprzecza; broniąc się - kompro-mituje i dostarcza dowodów winy. M i t s y s t e m u, który roz-grzesza wszystkich ze wszystkiego składając podział na poczciwy naród i demonicznych przywódców, nieznośnie przecież sam nie wyjaśnia, ani nie usprawiedliwia. Jest po prostu symptomem intelektualnej i moralnej de-prawacji, której przy pomocy tegoż właśnie mitu usiłujemy się wypierać. Nie zmienia to jednak faktu, że wszyscy jesteśmy dziełmi i budowniczymi PRL-u. I choćbyśmy nie wiem jak temu zaprzeczali, "my" zrośnięci jeste-my z "nimi" jak bracia sżamscy, połączeni wspólnym krwiobiegłem wartości ci i antywartości. "My" i "oni" to rewers i awers tej samej upadającej złotówki, a nie złote talary i aluminiowe grosze.

Nie próbuję bynajmniej kogokolwiek obrazić, prowokować czy oskarżać występując w roli ojca narodu albo oietki, która ma za złe. Nie o strofowanie redaktorów tu chodzi. Chciałbym po prostu zwrócić uwagę na fakt oczywisty, choć notorycznie lekceważony, że i w atotalistycznym o b o z i e trudno przeprowadzić podział na łutów i ofiary według kry-teriów moralnej czystości - wszyscy wszak tkwią po uszy w tym samym głu-znie. I nie to jest naszym grzechem największym, żeśmy się trochę pobru-dzili - umurzano nas przeciw wbrew woli, siłą, której nie mogliśmy się przeciwstawić. Musieliśmy się jakoś z losem ułożyć, jakoś urządzić, ja-koś - po prostu - żyć. To było nasze prawo i nasz obowiązek. Nie wolno nam jednak udawać, że równocześnie - przez czterdzieści lat i dwa pokole-nia - staliśmy "ponad" lub "obok", że przy najbliższej okazji wystar-czy otrzepać ręce, trochę się wyprostować, i zmienić garnitur, by na-tychmiast zostać zupełnie innymi ludźmi. Takie udawanie grozi schizofre-nią i przekształceniem Polski w dom wariatów niebezpiecznych dla świata i wymagających stałej, zewnętrznej opieki.

Trzeba się w końcu na coś zdecydować. Nie sposób zakładać, że "system" jest wszystkim a człowiek /jednostka/ niczym, zaś z drugiej strony wierzyć, że brud obozowy nas się nie ima, że można ów "system" po prostu ignorować, pozostać na zewnątrz, uodpornić się i ocalić, na-wet bez specjalnych świadomych zabiegów i wysiłków, intuicyjnie tylko unikając doczkołnych zagrożeń i skałań. Postawa taka bowiem uniemożliwia nam na dłuższą metę rozpoznanie sytuacji i podjęcie sensownych działań, powoduje, że zależnie od nastroju miotamy się w poczuciu siły lub bez-silności, na odzież uważając, że "nie się nie da zrobić", a od święta wierząc, że wolno nam absolutnie wszystko.

I jedno i drugie jest oczywiście bzdurą, ale bzdurą głęboko zako-nieczoną w naszej świadomości i troskliwie hodowaną, bo dostarczającą wy-godnego alibi i podtrzymującą dobre samopoczucie. Alternatywa "nie" al-bo "wszystko" może być atrakcyjna dla dzieci lub hazardzistów, nie po-winna jednak podlegać dejzrealnych społeczeństw.

Brzmi to jak wyrzut, ale chodzi tu wyłącznie o próbę opisu, dia-

gnozy, a nie pretensje i reprimendy, bo przecież - mimo tysiącletniej historii - nie bardzo mieliśmy kiedy dojrzewać, użyć się polityki, zdobywać kulturę polityczną. Ta bowiem jest kwestią tradycji, doświadczenia, praktyki, eksperymentów, długofalowych kalkulacji, spokojnego rachunku strat i zysków. Niestety, prawie zawsze na przestrzeni ostatnich dwustu lat rachunek ten wypadał jednocześnie na naszą niekorzyść; wynikało zeń, że właściwie nie się nie da zrobić a równocześnie nie można zaniechać działania. Wobec bezsilności intelektu dochodziły wówczas do głosu emocje, rozkwitała wiara w cuda, ludzkość i Europę, a czasem nawet we własne siły. Nie mogąc prowadzić polityki, skazani byliśmy na hazard, na grę "wszystko za wszystko" czyli "tryumf albo agon". Wypadało coraz bliżej zgonu, coraz dalej od tryumfu, ale zawsze pewien margines, jeśli już nie dla czynów, to dla myśli pozostawał.

Kuroczowo trzymaliśmy się Europy; azjatyckie wichry hulały po kraju, ale jednak nie w naszych sercach i głowach. Mocarstwa zaborcze nie były zresztą państwami totalitarnymi; przegrzając powstania można było przeto podjąć pracę organiczną, upleść się przy ziemi, jakichś kasach, czytelniach, spółkach, stowarzyszeniach itp. Sam ustrój bowiem, niezależnie od aktualnych koncepcji poszczególnych rządów i kursów politycznych, stwarzał większe lub mniejsze pole manewru dla społecznych inicjatyw, czy to dzięki swobodom ekonomicznym czy też niezależnemu względnie sądownictwu. Również wymiana albo przynajmniej absorpcja idei mogła się dokonywać bez specjalnych przeszkód przy określonych gwarancjach prawnych w postaci minimum swobód obywatelskich.

Można dziś zgłaszać wiele usasadnionych pretensji pod adresem ówczesnej myśli politycznej, ale przecież /i to najważniejsze/ myśl takowa niewątpliwie istniała, wydając czasem oryginalne owoce w postaci publicystyki czy programów partyjnych. Dzisiejsi badacze mają tu w każdym razie kłopoty raczej z nadmiarem niż z niedostatkami tekstów; gruntownie i wyomerpujące dociekania w tym zakresie ciągle więc jeszcze mamy przed sobą. W smacznie gorzej sytuacji będą natomiast przyszli historycy myśli politycznej PRL-u, o ile w ogóle dokopią się jakiegś przedmiotu badań w powolnie wydawanej u nas propagandowej makulatury. Niełatwo bowiem doszukać się śladu jakiegokolwiek, a nie tylko politycznej myśli w namiętych wyznaniach miłości do wschodniego sąsiada i bezkociej o kierowniczej roli partii. Nie jest to bynajmniej tylko tania złośliwość, bo przecież sam wicepremier Rakowski na spotkaniu z robotnikami w Stoczni Gdańskiej wyznał, że największym, historycznym sukcesem polityki polskiej lewicy było ustanowienie dobrych stosunków ze Związkiem Radzieckim. Sukces, od którego mogłoby przewrócić się w głowie, gdyby nie fakt, że partia przywłaszczyła tu sobie bezczelnie zasługi towarzyszy radzieckich. O naszych stosunkach z nimi zdecydowali bowiem wyłącznie oni sami. Doktryna polityczna władców PRL-u jest więc, jak widać, nie tylko wyjątkowo nierzeczna, ale i nieszyt oryginalna. Niemniej, twierdzenie Rakowskiego najtrafniej chyba oddaje miarę politycznych osiągnięć i aspiracji PZPR.

Oczywiście ambicje intelektualne i polityczne społeczeństwa nie zostały ostatecznie zmonopolizowane przez partię i jej agendy - w drugiej połowie lat siedemdziesiątych okazało się, że można nie tylko myśleć, ale i pisać inaczej niż chce "kierownicza siła narodu". Państwowy monopol wydawniczo-informacyjny skutecznie przełamano i jest to niewątpliwie największa z dotychczasowych szans demokratycznej epozycji. Ale - nie ludźmy się - zasięg "wolnego słowa" był i pozostaje nadal zbyt ograniczony, aby marzyć o jakiejś politycznej edukacji czy reedukacji najszerzszych kręgów społeczeństwa. Te bowiem /jeśli nie liczyć zachodnich audycji radiowych/ nadal poddane są wyjątkowo morderczej presji oficjalnej propagandy i choć jej doraźna skuteczność wydaje się minimalna, to nie sposób przecież lekceważyć dalekościąnych efektów aglu-

planu i deprawowania społeczeństwa przy pomocy codziennych dawek kłamstw, oszczerstw, ówierćpraw i przeinaczeń. Sporadyczny - w najlepszym razie - kontakt z niezależną myślą i informacją nie może wszak zastąpić wolnej, powszechnie dostępnej prasy, dobieranej swobodnie według indywidualnych gustów, upodobań i sympatii czytelnika. Nie może zatem stać się podstawą politycznej kultury społeczeństwa pozbawionego elementarnej świadomości spraw, które się na nią składają, a także oddzielnego treningu w sferze samodzielnych ocen i wyborów spośród repertuaru zróżnicowanych postaw i propozycji. A przecież nieskrepowany dostęp do informacji jest zaledwie warunkiem niezbędnym, ale bynajmniej nie wystarczającym dla ukształtowania się kultury politycznej. Ta bowiem jest przede wszystkim kwestią praktyki, uczestnictwa, wnieślibości lub pryncypalnego, ale przecież rzeczywistego udziału w życiu politycznym. Wszak tylko wówczas może wykształcić się poczucie sprawstwa, współodpowiedzialności, a co za tym idzie, aktywność podmiotowa. Przynależność lub przynajmniej poparcie dla wybranej partii, związków zawodowych czy innych organizacji; udział w różnego rodzaju akcjach, strajkach i manifestacjach; głosowanie w wolnych wyborach i referendach - wszystko, co składa się na swobodną grę sił na wszystkich poziomach życia społecznego stanowi system bodźców i źródeł inspiracji dla myśli politycznej, która - jeśli nie chce być zbiorem anachronicznych dogmatów - może się ukształtować i być korygowana tylko drogą prób i błędów, osuwnych reakcji na zmieniającą się okoliczność życia - jako zbiorowy dorobek w postaci sumy wniosków z doświadczeń, przemyśleń i przeżyć jednostkowych.

Systematycznie przez władze ponawiane oskarżenia społeczeństwa o brak kultury politycznej są tedy objawem szeregowej przewrotności i cynizmu. Doraźna już bowiem w Polsce drugie pokolenie ludzi, którzy nigdy nie mieli okazji zetknąć się z normalnymi instytucjami życia politycznego. Miał współzrządzenia i kontroli proponowano im przecież wyłącznie udział w oszukańczych farsach i fasadowych, zdalnie sterowanych imprezach, maskujących prawdziwą istotę partyjno-wojskowo-biurokratycznej dyktatury. Co więcej: zrobiono wszystko, aby odciąć nas również od przeszłości i zohydzić tradycję myśli politycznej, tak, aby obecna rzeczywistość jawiła się nam jako najlepszy i jedyny z możliwych światów. Służy temu przedstawianie dziejów Polski jako pasma klęsk i pomyłek, które radykalnie i na zawsze przerwał dopiero wkroczący na nasze ziemie żołnierze radziecki. Od tej chwili rozpoczyna się "historia święta", kalana jedynie chwilowo i okazjonalnie błędami, wypaczeniami i innymi ułomnościami ludzkiej natury. Są to jednak zawsze tylko zwyczajne przyszoce na zdrowym ciele Najlepszego Ustroju na Świecie, a nie objawy jakiegokolwiek brzydkiej, zaawansowanej i nieuleczalnej choroby. Objaw jest wylacją i przejściową, istota zaś siusznna, niezmienna i wieczna. Przerwywając więz z tradycją myślenia i działania politycznego próbuje się unieszkodliwić przeszłość, odbierając zaś ludziom nadzieję na zmiany - stworzyć wieczne "teraz" i z góry przekreślić sens wysiłków skierowanych ku przyszłości.

Analfabetyzm polityczny społeczeństwa jest więc zarówno skutkiem NUS jak i podstawowym warunkiem jego funkcjonowania. Stanowi przeto idealną władzę, którego wprowadzenie nie może ona nigdy i nigdzie w pełni zrealizować, ale robi wszystko, by się doń przybliżyć. Stąd właśnie z taką zaciekłością ściga i tępí wszelkie objawy jakiegokolwiek niezależnej działalności społecznej, w tym nawet pozbawione bezpośredniego związku z polityką poczynania edukacyjne. Próby te stwarzają przeszkodę dla władzy realnie niebezpieczeństwo nie tylko ze względu na swą efektywność czy potencjalny zasięg uwarunkowany skalą społecznego niezadowolnienia. Czuje się zagrożona, często zupełnie nieproporcjonalnie do bodźców, przede wszystkim i dlatego, że sama nie posiada odpowiednich kwalifikacji politycznych, tzn. takich przynajmniej, które umożliwiłyby jej adekwatne reagowanie na "niewygodne" sytuacje. Przywykła ona bowiem polegać nie tyle na własnych umiejętnościach, ile na dyrektywach wschodniego sąsiada i poparciu przyjaciół z obozu. Pozbawieni suwerenności władcy PRL-u nie mieli

Władza odwróciła się przeciw polityce. Z tych samych powodów, dla których nie udało się walczyć z socjalizmem, politykę robi się przeciw w Moskwie.

Począwszy od Sierpnia '80 władza grała wtedy na zwickę przygotowując cichym stan wojenny i godząc się z góry ze wszystkimi spodziewanymi konsekwencjami swych poczynań, ponieważ w obliczu nowej dla siebie sytuacji była równie bezradna jak jej partnerzy czy przeciwnicy. Zabrakło koncepcji, doświadczenia, talentu - nie mówiąc już o dobrej woli. Tzw. /przez siebie samych/ "polscy komuniści" nie musieli dotąd wysilać się w celu zdobycia lub utrzymania władzy - otrzymali ją wbrew woli Narodu, wraz z odpowiednimi gwarancjami, z rąk radzieckich "wyzwolicieleń". Nie musieli więc prowadzić polityki we właściwym sensie tego słowa - od początku wszak, przy obcej, choć zawsze "bratniej" pomocy, wyeliminowali i zdelegalizowali ewentualnych partnerów czy konkurentów. Nie mając ku temu okazji nie mogli się tedy sprawdzić jako politycy i nauczyć działania w warunkach presji ze strony opozycji, przy minimum społecznej kontroli. Na szczęście dla siebie nie musieli właściwie ani przekonywać, ani pozyskiwać społeczeństwa, bo nie posiadali w jego oczach żadnych atutów i niczego do zaoferowania. Kości zostały rzucone w Jalcie - nie trzeba było nawet stwarzać pozorów i zbytnie się wysilać, by wymowe fakty jakoś przed oczami kraju i świata zamaskować. Walkę o władzę zastąpili tedy nasi komuniści licytacją lojalności wobec ościennego mocarstwa, politykę - spiskiem i wzajemnym "podgryzaniem", dialog ze społeczeństwem - szantażem, niszczeniem niezależnych inicjatyw i pogróżkami.

Trudno się tedy dziwić, że polityków we właściwym sensie tego słowa w krytycznym momencie po prostu zabrakło i musieli ich zastąpić generałowie. Jakikolwiek polityczne rozwiązania konfliktu nie wchodziły więc w grę, nie tylko ze względu na rzeczywistość czy domniemany brak "swobody manewru" między Odrą i Bugiem, ale po prostu dlatego, że operacja taka wyraźnie przekraczała możliwości partnerów.

Trzeba przyznać, że władze zrozumiały to natychmiast, uznając rozstrzygnięcie siłowe za niuniknione i podejmując odpowiednie przygotowania pod osłoną rzekomych rokowań, a nawet gestów pojednawczych. Była w tym jakaś konsekwencja, której niestety nie można przypisać "Solidarności". Z dwóch dyktantów politycznych jeden tylko /władza/ zachował pewien kontakt z rzeczywistością, drugi zaś /"Solidarność"/ od początku funkcjonował w sferze mitów i pobożnych życzeń. Co więcej, wyglądało na to, że poczucie realizmu w kierowniczych kręgach Związku systematycznie maleje. Upojeni początkowymi sukcesami i masowością swej organizacji przywódcy "Solidarności" w coraz to większym zakresie powielić zaczęli stare błędy swych antagonistów. Było to zresztą do pewnego stopnia niuniknione - zabrakło po prostu innych, lepszych wzorów zachowań politycznych. Również bieg wydarzeń nie sprzyjał rozważde, a czasem wręcz uniemożliwiał rozpoznanie sytuacji i podjęcie skutecznych działań. Tak czy owak, "Solidarność", ruch pokolenia zrodzonego lub przynajmniej ukształtowanego w PRL-u, stała się nieodrodną, choć zbuntowaną odrą PZPR. Odsziedziciła po niej przede wszystkim pretensję do monopolu na rację i prawdę ostateczną, a także granizującą z fanatyzmem nietolerancję i arogancki stosunek do znaczących odłamów społeczeństwa, o poparcie których se szczęśliwą gorliwością powinna zabiegać. Zadufana w sobie i upojona magiczną liczbą 10 milionów członków "Solidarność" zlekceważyła niemal całkowicie swych aktualnych i potencjalnych sprzymierzeńców w partii, niedostatecznie zadbała o pozyskanie sobie ludzi i wpływów na różnych szczeblach aparatu administracji, wojska i służb specjalnych. Przewidując konfrontację przeciwnika. Więcej nawet - okazało się, że nie wie czego może oczekiwać po własnych członkach i zwolennikach.

Slepotą polityczną i przewaga emocji nad rozsądkiem, przy obcrobliwym wręcz uczuleniu na krytykę i wazekobornej podejrzliwości - sprzy-

jały natomiast powstawaniu klik, koterii, kółek wzajemnej adoracji i innych objawów wyobcowania akt, wistów Związku oraz ludzi z nim w różny sposób powiązanych. Podział na wtajemniczonych i profanów, "kierownictwo" i "masę", nieustannie się pogłębiał i nie mogły go niestety zlikwidować żadne spektakularne akcje, wiele razy obchody. Być może każda polityka wymaga dzielenia ludzi na "swoich" i "nie-swoich", stwarza więc różne kręgi wtajemniczenia i nieuchronnie alienuje kręgi przywódcoze, ale w naszych warunkach odbierano to - szkodnie czy nieszkodnie - po prostu jako odnawianie praktyk skądinąd już dobrze znanych i nie bardzo popularnych. Pod groźbą tego, co stało się 13 grudnia, za wszelką cenę szukać więc trzeba było nowej formuły życia politycznego.

Byłoby oczywiście kłamstwem i niesprawiedliwością twierdzić, że wysiłków w tym kierunku wcale nie podjęto. Ale faktem jest też, iż nie przyniosły one oczekiwanych rezultatów. Niekoniecznie jednak z winy przywódców Związku. Niewykluczone bowiem, że zadania, jakie przed nimi stały, były po prostu w danych warunkach nietykalne. Być może rozciągnięte w czasie, pokojowe rewolucje są w ogóle niemożliwe, tzn. zawsze i wszędzie skazane na niepowodzenia, a już przynajmniej na pewno w krajach komunistycznych i w tym miejscu świata. Albo też - by nie uciekać się do zbyt daleko idących generalizacji - społeczeństwo nasze po 200 latach niewoli i 40 latach komunizmu utraciło wreszcie swą żywotność, dynamikę, wolę walki i zdolne jest już tylko do chwilowych odruchów buntu. Wszelkie uogólnienia są tu oczywiście ogromnie ryzykowne lub wręcz nieodpowiedzialne, trudno jednak powstrzymać się od stawiania podobnych pytań i hipotez, ze względu na ich praktyczne konsekwencje dla teraźniejszości i przyszłości. Choć bowiem działań skutecznie musiny wazak odróżniać powszechne reguły czy mechanizmy ruchów masowych od zjawisk czysto lokalnych, charakteryzujących wyłącznie obecny stan naszego społeczeństwa.

Rewolucje wybuchają kiedy chcą. Można się ich spodziewać, ale nie sposób przewidzieć dokładnego ich terminu i przebiegu. W rezultacie zawsze rządzących zaskakują. To samo da się powiedzieć o kontrrewolucjach. Sierpień zaskoczył władzę, choć wybuch był sygnalizowany grubo wcześniej; grudzień zaskoczył "Solidarność", choć wszyscy go oczekiwali. Spodziewano się jednak raczej k o n f r o n t a o j i niż działań p o r z ą d k o w y c h, wystarczających jednak w pełni dla restytucji reżimu i poskromienia społeczeństwa, które okazało się całkowicie niezdolne czy też niesklonne do stawiania s o l i d a r n e g o o p o r u. Zarówno w grudniu, jak i później miał on charakter raczej symboliczny, jeśli w ogóle nie marginalny. Zabrakło wiary i determinacji, koncepcji i organizacji, a w rezultacie i ochętnych do obrony idei sierpniowych. Solidarność, jako idea przewodnia, nadzieja, sztandar i źródło siły Związku okazała się fikcją, postulatem, a nie rzeczywistością duchową, społeczną i polityczną. Niestety, z punktu widzenia przyszłości kraju, grudzień przynosił więcej zagadek i ważniejsze pytania niż Sierpień.

Oczywiście: można i trzeba chyba się ośmielić, że zamiast tragedii zafundowaliśmy sobie tym razem krwawą farsę. Była to gorszej, mogło być gorzej. Obie wysokie strony zachwalały swój rozsądek i umiar - jedna, bo się nie bronila, druga, bo mało zabiła. Normalizacja postępuje, krzywe rosną. Reżim zwłaszcza dystans pomiędzy PRL a normalnie rozwijającymi się krajami świata i pogłębia się zaocianie obozu jako całości. Przedstawiciele władzy wcale nie ukrywają, że - jeśli wszystko pójdzie dobrze - to za jakieś dziesięć lat osiągniemy poziom tryzda z epoki gierkowskiej i wtedy dopiero, na skutek niedoinwestowania i zużycia potencjału gospodarczego, zacznie się kryzys, który trudno sobie nawet dziś wyobrazić. Rząd i wtedy jakoś się wyżywi, ale...

Rządko spotykamy w naszej historii rozsądkiem i umiarem wygrałiśmy chwilowy spokój i przegraliśmy przyszłość - własną oraz prawdopodobnie naszych dzieci oraz wnuków. Historia rządko robi prezenty i trud-

no na nie liczyć. Ci, którzy nie walczą - tak czy inaczej przegrywają. Przegraną w walce można, przy odrobinie szczęścia i rozumu coś zyskać, perspektywicznie można ją nawet zamienić w sukces. Ten, kto walczy demonstruje swoje prawo do istnienia i szacunku oraz wyrabia sobie przy najmniej pozycję przetargową. Kto rezygnuje z walki, może liczyć już tylko na Pana Boga i opinię światową, a w najlepszym razie na sankcje ekonomiczne. Warto o tym pamiętać - na przyszłość.

Nie wybierałem się z butelką na czołgi i nie mam pretensji do innych, że nie chcieli wystąpić w roli "kamieni na szaniec". Chodzi jedynie o to, byśmy zechcieli spokojnie zdać sobie sprawę z naszej aktualnej sytuacji i pragnęli do wiadomości reguły gry. Zamiast się frustrować i narzekać - trzeba jeszcze raz wszystko przemyśleć i wyciągnąć właściwe wnioski. Zamiast budować kapliczki i kreować nowych świętych polakich, musimy zdobyć się na maksymalną trzeźwość i krytycyzm. **POTRZEBNE SĄ NAM ANALIZY I SYNTEZY, A NIE MITY, NOSTALGIA I EGZALTACJA.** "Solidarność" była wielkim doświadczeniem i ogromnym eksperymentem - nie wolno zmarznąć jego owoców i rozmiąć na drobne kapitału tradycji. Coś z tych kilkunastu miesięcy musi pozostać, czegoś powinniśmy się ostatecznie nauczyć. Obiektów kultowych mamy w historii sporo, stać nas na to, by okres między sierpniem a grudniem /a także miesiące późniejsze/ potraktować jako pouczający epizod naszych dziejów, a nie hagiograficzną legendę o kolejnym wzlocie i upadku Rzeczypospolitej. Odebraliśmy w końcu impuls myślowy o wielkiej energii i złożoności, a nie tylko ówmski cios poniżej pasa.

P o t r z e b a t e d y r e f l e k s j i i w y m i a n y m y ś l i. Nie można zrezygnować z dyskusji i upowszechniania jej wyników. Konspiracja powinna działać w zakresie koniecznym dla zabezpieczenia organizacyjnego, materialowego i finansowego wydawnictw niezależnych oraz inicjatyw edukacyjnych i propagandowych. Jest to zresztą wymóg-minimum. Spółczesność musi - pod rygorem utraty własnej podmiotowości - organizować się wszędzie, gdzie zachodzi taka możliwość i potrzeba. Nie idzie tu tylko o kwestie taktyki czy strategii ewentualnej przyszłej walki - to problem z gatunku "być albo nie być". "Być" możemy tylko jako zorganizowani, dalsza dezintegracja grozi nam po prostu "niebyciem". Przez 40 lat reżim czynił wszystko, by rozbić i zniszczyć bądź przynajmniej poddać kontroli więzi społeczne oraz wszelkie instytucje życia zbiorowego, by pozbawić jednostkę jakiegokolwiek oparcia w swoim środowisku, wyizolować ją i całkowicie uzależnić od partynjo-państwowej biurokracji. Władza skłonna jest wybaczyć niesubordynację poszczególnym ludziom, nigdy - organizacjom. Tylko te bowiem mogą stanowić dla niej istotne zagrożenie i w razie potrzeby skutecznie jej się przeciwstawić. Zbiorowość niezorganizowana, pozbawiona więzi wewnętrznych i zachowująca swój kształt tylko dzięki własnej bezwładności lub zewnętrznej presji - jest jak kupa piasku, którą można dowolnie przesypywać, albo nawet po prostu zostawić swojemu losowi, by po pewnym czasie zniknęła bez śladu. Dopiero organizacja zamienia ją w mur, jest spoiwem, które nadaje jej trwałość i formę, czyni zdolną do stawiania o p o r u.

Dlatego każdy system totalitarny z natury swej dąży do dezintegracji społeczeństwa, do rozbicia go na poszczególne atomy, całkowicie podporządkowane wszechmocnej i wszechobecnej władzy. Chodzi więc o to, aby osłabić lub wyeliminować wszystkie możliwe typy relacji międzyludzkich, redukując w praktyce ich niesłychane bogactwo i różnorodność do stosunku pomijając jednostkę a Systemem. Ze względu na złożoność funkcji społeczeństwa ideału tego nie udaje się wprawdzie nigdzie i nigdy w pełni zrealizować, niemniej dążenie doń jest wraźnie widoczne w supremacji polityki nad pozostałymi dziedzinami życia zbiorowego i odmowie uznania jakichkolwiek zjawisk czy procesów za politycznie obojętne. Ten swoisty imperializm natrafia jednak nieuchronnie na barierę wymogów praktyki - ideał totalitaryzmu to na szczęście utopia; dla realizacji swych żywotnych

celów społeczeństwo musi być bowiem tak czy owaś na różnych poziomach zorganizowane. Organizacji wymaga zresztą również samo sprawowanie władzy. W tych warunkach centralnym problemem systemu staje się k o n - t r o l a , która z kolei nigdy nie może być w pełni efektywna, ponieważ waż nie sposób skutecznie kontrolować wszystkich i wszakiego. Plagą totalitaryzmu są tedy z jednej strony rewolty na obszarach słabiej kontrolowanych, a z drugiej emancypacje różnego rodzaju "podsystemów" /wojsko, biurokracja, aparat bezpieczeństwa itp./. W sytuacji zagrożenia można wszakże zmobilizować rezerwy /dosłownie i w przenośni/ i wzmocnić kontrolę nad społeczeństwem, a także stopień integracji aparatu władzy /"zwrzeć szereg"/, lecz gdy niebezpieczeństwo mija, wszystko zaczyna się nieuchronnie od nowa, przy czym nie zawsze dochodzi do przywrócenia pierwotnej równowagi między "naturalnymi" konkurentami w ramach układu.

Będąc więc z natury swej wewnętrznie niespójny i stale zagrożony rozpadem, za szczególną zaletą zwracać się musi totalitaryzm przeciwko wrogowi "zewnętrznemu", czyli wymykającym się kontroli albo po prostu niezależnym instytucjom i organizacjom społecznym. Tęgo rodzaju "ciała obce", "przeszczepy", "saraki" czy "nowotwory" stanowią dla zdrowia i samopoczucia systemu śmiertelne niebezpieczeństwo, grożąc infekcją, przerzutami, paraliżem, zawałem, a na dłuższą metę nieuchronnym końcem. Naruszona tu zostaje bowiem podstawowa zasada funkcjonowania totalitarnej maszyny władzy: system przestaje mieć do czynienia z bezradną wobec wszechmocnego aparatu j e d n o s t k ą , biernym i całkowicie wyizolowanym przedmiotem manipulacji, numerem dowodu czy policyjnej kartoteki. Złamanie monopolu na organizację wytrąca władzy z ręki podstawowy atut w walce ze społeczeństwem, stwarza jej partnera lub przeciwnika, który dysponuje tą samą bronią i ozerpie swą siłę ze znacznie potężniejszych źródeł.

Dlatego curiosum w rodzaju wolnych związków zawodowych musiało być prędzej czy później za wszelką cenę zlikwidowane, podobnie jak wszystkie inne niezależne organizacje i instytucje społeczne. Warto i trzeba dyskutować o popełnionych przez nie błędach taktycznych czy strategicznych, ale ze świadomością, że los ich był z góry przesądzony, bo pokojowymi metodami nie mogły stawić efektywnego oporu, zaś inne sposoby walki nie wchodziły w grę ze względów uznanych za oczywiste. Władza skłonna do browolnie tolerować "konkurencję" lub "opozycję" wylamałaby się - podobnie jak uczyniły to związki przez sam fakt swego istnienia - z reguł gry obowiązujących w Najlepszym Ustroju na Świecie i straciła całkowicie swą tożsamość, akceptując początek własnego nieuchronnego końca. To, co było dotąd oczywiste w sferze domniemań, znalazło potwierdzenie w praktyce, która ostatecznie uwolniła nas od złudzeń odnośnie intencji władzy, charakteru systemu, a także - z drugiej strony - naszych aktualnych możliwości w walce z reżimem.

Substytutem więzi organizacyjnych może stać się w pewnych sytuacjach poczucie solidarności w obliczu skrajnego zagrożenia zbiorowych interesów czy wręcz nawet podstaw egzystencji społeczeństwa lub narodu. Ten typ więzi jest jednak mało odporny na erozję powodowaną zmiennymi okolicznościami zewnętrznymi i na dłuższą metę trudno opierać nań rachuby polityczne. Spontaniczna solidarność jest zjawiskiem nietrwałym, jak wszystkie zresztą fenomeny przynależące do sfery zbiorowych emocji. Solidarność jako faktor polityczny trzeba więc nieustannie podtrzymywać i o r g a n i z o w a ć . Nie wolno zaś w żadnym razie uznać ją za stabilny układ odniesienia, do którego w razie potrzeby można dowolnie się odwoływać i hazardować na nim w różnego rodzaju kalkulacjach. Prędzej czy później będzie to wołanie na pustyni w obliczu utraty gruntu pod nogami.

Dotychczasowe doświadczenia ruchów niezależnych i akcji protestacyjnych, a przede wszystkim okoliczności, w jakich powstał Związek, w sposób naturalny niejako doprowadziły do wyeksponowania w jego nazwie i na sztandarze właśnie idei solidarności. Zawarte w niej przesłanie pod

adresem społeczeństwa wydawało się być poszukiwanym od dawna kamieniem filozoficznym, ozarodziejskim niemal lekarstwem na chorobę wyniszczającą organizm zbiorowy, przepustką do Krainy wolności i dobrobytu. Idea była niewątpliwie piękna i słuszna, zbyt pochopnie jednak uznano postulat za rzeczywistość, a pobożne życzenia za pożądane fakty. Już w strajkach sierpniowych chcieliśmy widzieć przede wszystkim odruch solidarności, a nie po prostu powazecznej niechęci i oporu wobec reżimu. Współność gniewu i niedoli nie zawsze jednak, a nawet nie często rodzi solidarność. Ta ostatnia wymaga głównie poczucia wspólnoty interesów, a nie tylko wspólnego wroga.

Tak czy owak więc, na której próbowała basować "Solidarność" okazała się zbyt krucha, a może i wręcz fikcyjna. Była to bowiem solidarność żywiołowa, od /strajkowego/ święta, solidarność gestu, zwłaszcza taniego, bez kosztów i ryzyka /po sierpniu i przed grudniem/. Za świetlistą fasadą kryły się jednak n a t u r a l n e sprzeczności interesów poszczególnych grup i warstw społecznych, konflikty, które bezskutecznie usiłowano zakłajstrować solidarystyczną ideologią. I ten właśnie doraźny, egoistyczny interes grupy demaskował nieustannie "solidarnościową" fikcję, choć równocześnie większość społeczeństwa trzymała się jej uporozywie jako ostatniej deski ratunku. Z podziwu godną cierpliwością znoszono przeto utrudniające życie milionom ludzi wybruki listonoszy, kioskarzy, sprzedawców, przedszkolank i w ogóle każdego, kto czuł się pokrzywdzony i usiłował wykorzystać sytuację dla własnych celów, a przy okazji zbawić Polskę. Społeczeństwo jako całość godziło się na tę cenę, składając ofiarę na ołtarzu wyższej sprawy i kurczowo trzymając się mitu, który w zamian za odcienne uderki otwierał ugraniczoną perspektywę przyszłego ładu, który nastąpi, kiedy wszyscy z osobna kosztem wszystkich innych wszystko sobie załatwią. Winą za ten bałagan obciążano wyłącznie władze, które rzeczywistość inspirowały konflikty i po cichu popierały zwłaszcza społeczne akcje, ale przecież głupota i egoizm były nasze, własne. Wszelako nikt nie chciał się wychylać na tyle, by zobaczyć i pokazać ową drugą stronę medalu, czy nawet po prostu zaakceptować jej istnienie. Zapanował rodzaj psychicznego terroru, który tolerował samowolę poszczególnych grup wobec społeczeństwa, zaś społeczeństwo jako całość kazał się solidaryzować z najbardziej nawet nieodpowiedzialnymi wybrakami, które same w sobie były najjaśniejszym zaprzeczeniem i wypaczeniem idei solidarności. "Solidarność", będąca w momencie swych narodzin impresją związkową azybkowiem przekształciła się w r u c h o b y w a t e l s k i i n a r o d o w y, nie rezygnując równocześnie ze swych funkcji pierwotnych. Ta funkcjonalna hybrydalność zawodowego z nazwy i koncepcji Związku była źródłem jego słabości i siły, podstawa sukcesów i początkiem wewnętrznych konfliktów.

Wymóg aktywnej solidarności zakładający dobrowolną dyscyplinę i rezygnację z interesów grupowych na rzecz ogólnospołecznych był prawdopodobnie po prostu utopijny. Utopie bywają polityczne i miewają potężną moc oddziaływania - mogą tedy rzeczywistość współtworzyć, ale nie wolno ich traktować jako jej substytutu, bo społeczeństwo nie żyje w świecie wymagowanym przez ideologów i samo nie jest produktem imaginacji. Otóż wszystko istniejące obecnie /i zapewne w przyszłości/ społeczeństwa są w jakiś sposób podzielone, zaś konflikty interesów w ich ramach stanowią zjawisko naturalne i na dłuższą metę nie do uniknięcia. Odwołując się do solidarności Polaków można było zorganizować i wykorzystać emocje w Sierpniu 1980 roku, ale później należało już uwzględnić przynajmniej rozbieżność dążeń ekonomicznych poszczególnych grup pracowniczych i próbować podporządkowywać je celom nadrzędnym. Społeczeństwa funkcjonują - mniej albo bardziej sprawnie - dzięki wewnętrznym kompromisom, a nie wygaszeniu sprzeczności i konfliktów, lub - co gorsza - udawaniu, że takowych nie ma. Nie idzie tu oczywiście o osławiony kompromis z "władzą" - ten nie wchodził w rachubę; ugody muszą chcieć obie strony, a i przy tym założeniu nie zawsze jest możliwa.

Chodzi o wewnętrzną spójność i dyscyplinę ruchu, co wymagało nie tyle solidarności jego członków, ile zrozumienia i przyjęcia za swoje jego celów i założeń. "Solidarność" chciała za wszelką cenę uszczęśliwić w s z y s t k i c h , a w efekcie z miesiąca na miesiąc traściła poparcie i kredyt zaufania, nie mogąc ostatecznie zadowolić nawet tych, którzy początkowo ją bez zastrzeżeń akceptowali. "Związek, jak się zdaje, skazany był na stopniowe zmniejszanie się społecznego poparcia wraz z pogłębianiem kryzysu. Nie mogło tego zmienić ni konsekwentne bojkotowanie decyzji rządu, ani strategia przeciwna - włożenie się w realizację tych decyzji. Dlatego władza zawieszając Związek wyświadczyła w istocie "Solidarności" przysługę - pomogła bowiem ocalić i utrwalić jej mit." /J. Powiórski, Polacy 81: opinia publiczna w przededniu stanu wojennego, "Krytyka", nr 13-14, s. 39./

Nie wynika stąd bynajmniej, że idea solidarności była pomysłem poronionym i już w swym założeniu absurdalnym. Wręcz przeciwnie: sztan-darowe hasło Związku miało - przynajmniej początkowo - wielką moc mobilizacyjną i wyhodziło naprzeciw społecznemu zapotrzebowaniu na odbudowę autentycznych więzi międzyludzkich. Przez osterdsieści ostatnich lat uczyniono bowiem w Polsce sporo, by nie tylko zatowizować, ale też w możliwie największym stopniu zantagonizować społeczeństwo, aby zniszczyć poczucie wspólnoty narodowych celów i dążeń. Systematycznie tedy wytwarzano, podsycano i utrzymywano klimat wzajemnej nieufności, podejrzliwości i zawiści. Podszuczowano tedy robotników na inteligencję i studentów, "inteligentów" na "roboty", miasto na wieś, wieś na miasto, "sektor uspołeczniony" na "prywatyzację" itp. Wszystko to, przy notorycznym braku podstawowych dóbr i artykułów rynkowych - z jednej strony, z drugiej zaś - rozbudzonych niespełnionymi obietnicami aspiracjach, tworzyło atmosferę socjalistycznej dżungli, rywalizacji i konkurencji, szczególnie niezdrowej i brutalnej, bo bez wyraźnie określonych, jawnych i społecznie akceptowanych reguł gry. Bojkot o moralno-politycznej jedności narodu i sojuszach poszczególnej "klas" maskował tylko - wreszcie nieudolnie - postępującą erozję i dezintegrację struktury społecznej oraz zdemoralizowanie i nihilizm socjalistycznych elit.

Masowy akces do Związku tłumaczyć można zatem nie tylko powszechną frustracją i narastającą potrzebą przeciwdziałania katastrofie ekonomicznej albo - z drugiej strony - odnową wiary w skuteczność działań społecznych i nadzieją na znalezienie - wreszcie! - efektywnej strategii walki z reżimem. Hasło solidarności niosło obietnicę bycia "razem" po wielu latach przymusowego odcosmiania, umożliwiała bezkonfliktową identyfikację z grupą, której wartości i symbole odbierane nareszcie jako własne, a nie narzucone z zewnątrz i nigdy naprawdę nie akceptowane. W tych masowych odczuciach i postawach kryło się jednak od początku istotne niebezpieczeństwo. Ruch, który postawił sobie za cel walkę o ludzką i obywatelską podmiotowość nie mógł równocześnie wyzwolić się od ograniczeń, które były po części rezultatem niustannej zewnętrznej presji, po części zaś smutnym dziedzictwem z czasów dotąd niestety nie minionych. Społeczeństwo zatowizowane, zantagonizowane, wyalienowane i z premedytacją pozbawione jakichkolwiek rzeczywistych autorytetów hoduje w sobie niebezpieczne, choć w pełni zrozumiałe tęsknoty do integracji wokół osób i idei mających szanse zdobyć jego akceptację i zaufanie. Ta przemiana potrzeba jest zjawiskiem poniekąd naturalnym, gorzej, jeśli autorytety zamieniają się w otoczone nimbem charyzmy czy wręcz świętości, symbole. Bo stąd już tylko krok do fanatyzmu, nietolerancji i powszechnego zaślepienia czyli mentalności stada, które obsesyjnie kontroluje zachowania jednostek i pożąda autorytatywnego przewodnictwa.

A swoją drogą zadziwiające jest jak łatwo - mimo naszego osławionego indywidualizmu - wyrzekamy się wewnętrznej suwerenności /najpierw na rzecz Związku, później Kościoła/, jak fascynują nas ruchy masowe i ekscytują tłumy, jak oszałamia magia cyfr, z jakim upodobaniem się liczymy, jak beztrosko identyfikujemy, budujemy kapliczki i powie-

wazy astandardami - rezygując równocześnie z własnego zdania i prawa do krytycznego osądu. Byle tylko kupą, a kto się na centymetr choćby wychyli - ten wróg, agent, ani Polak, ani człowiek, wszyscy mają być jednakowo. Dyskutować można o niczym albo o sprawach proceduralnych. Jak ognia wszak boimy się manipulacji, choć przy każdej okazji uciekamy od wolności.

Wolność bowiem słusznie kojarzy się z odpowiedzialnością. Tej zaś z reguły podejmować ani chcemy, ani umiemy, między innymi dlatego, że brak nam pozytywnych doświadczeń i nawyków, bo tak naprawdę to nie wymagano od nas i nie oczekiwano niczego, co miałoby jakiś głębszy sens i wpływ na życie nasze lub innych. Reżim zdegradował i skompromitował postawy prospołeczne nadając im piętne dwuznaczności lub absurdu. Tzw. "społecznikami" zostawali u nas ludzie naiwni lub cyniczni, którzy wykonywali swą /często bezsensowną/ pracę nie bacząc na jej konteksty - z zamiłowaniem, bądź dla ukrytych korzyści. Jednostki takie budziły przeto częściej podejrzliwość albo politowanie niż szacunek i sympatię. Trudno się tedy dziwić, że na najniższych szczeblach Związku notorycznie brakowało chętnych do pracy społecznej, a jeśli w końcu się znajdowali, to nie zawsze najlepsi. Kłopoty kadrowe "Solidarności" świadczy również o tym, jak niewielki - wbrew pozorom - był stopień i zasięg faktycznej /a nie tylko formalnej, werbalnej, emocjonalnej/ identyfikacji z tą organizacją, po której skądinąd tak wiele się spodziewano w każdym sensie i we wszystkich sferach życia zakładu, regionu i Narodu. Nie da się ukryć - a późniejsze doświadczenia dobitnie to potwierdziły - że tzw. "masy" pozostały jednak bierne i wycozkujące, gotowe do wyrzeczeń lecz niedojrzałe jeszcze do pozytywnego działania. Inercja i lęk przed odpowiedzialnością okazały się równie wielkimi wrogami ruchu jak zadufanie i nietolerancja.

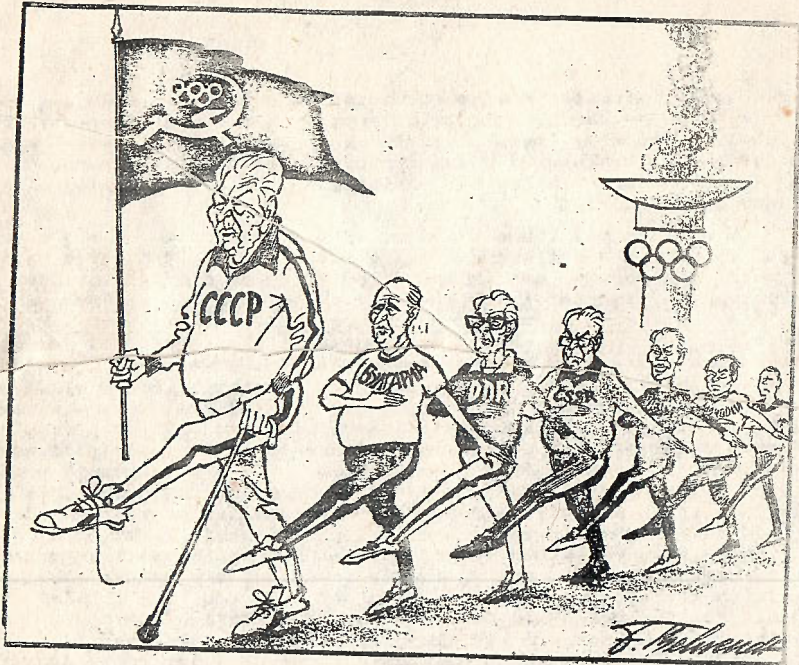
Wina za ów stan rzeczy można oczywiście obciążyć "Solidarność", co też niejednokrotnie czyniono, zarzucając jej, iż nie wypracowała "dostatecznie atrakcyjnego programu", że nie umiała "porwać mas", "zaniedbała pracę na dole" itp. Nie chodzi tu jednak o poszukiwanie łatwych rozgrzeszeń i ferowanie wyroków. Analiza rzeczywistych czy domniemych błędów Związku jest konieczna, ale bynajmniej nie wystarczająca. A może nawet nie najważniejsza. Strategia walki, która dopiero się rozpoczęła, wymaga bowiem przede wszystkim głębokiego i trafnego rozpoznania stanu społeczeństwa, jego słabości i atutów, blasków i nędzy. Sowietywizacji Polski mamy szansę przeciwstawić się skutecznie dopiero wtedy, kiedy mechanizmy i dotychczasowe efekty tego procesu zostaną w pełni rozpoznane i zdemaskowane, kiedy społeczeństwo osiągnie taki poziom samoświadomości, który pozwoli mu analizować i kontrolować własne stany i zachowania w każdym momencie swego istnienia. Wytrwać jako naród możemy tylko wówczas, gdy będziemy zdolni zdać sobie uciążliwie sprawę ze szkód i spustoszeń, jakie system czyni w nas każdego dnia i każdej minuty. Systematyczna autoanaliza, bezwzględna i odważna samokrytyka, rygorystyczna autokontrola - to podstawowe warunki usunięcia szkodliwych złożeń i deformacji psychicznych, a w perspektywie odrobienia dotychczasowych strat i umocnienia pozycji w przyszłości.

Musimy pomóc sami sobie wyzbywając się złudzeń i przesądów, mitów i kompleksów. Musimy wypowiedzieć wojnę megalomanii i poczuciu klęski. Musimy twardo opierać się nienawiści, która zaślepia, oślepia i degradowuje moralnie. Musimy - razem i każdy z osobna - dbać o umyślową higienę i ciągle na nowo oczyszczać swe głowy z fałszów propagandy.

NIE MUSIMY BYĆ ANI LEPSI, ANI GORSI
OD INNYCH. MUSIMY BYĆ - mimo wszystko -
NORMALNI.

Na razie chociaż tyle.

Jan Górecki



- Równym krokiem, odmarsz!

*** Mitwoch, 16. Mai 1984, Nr. 114 / Seite 3



Pogrzeb pewnej Ideei...

PLON PEWNEJ DYKUSJI

Pewnego dnia, pewna ilość osób skupionych wokół naszego pisma, postanowiła zebrać się jednak i porozmawiać. Ponizej przedstawiamy /skrótco ny niestety, za co przepraszamy wielu uczestników tej dyskusji/ zapis tej rozmowy. Jej uczestnicy wystąpią tu oczywiście pod pseudonimami. Jeżeli moglibyśmy zdradzić coś ciekawym ich personaliów, to chyba tylko to, że różnica wieku pomiędzy najstarszym a najmłodszym uczestnikiem tej dyskusji wynosiła... 46 lat.

Władek — Chciałem zaproponować, by nasza dzisiejsza dyskusja była przeprowadzona na kanwie dwóch artykułów, jakie ukazały się ostatnio w dostępnych nam pismach. Mianowicie: wydał mi się ciekawy artykuł Kazimierza Nowego /"Myśli Nieinternowane"/, który w jakiś sposób definiował koncepcje polityczne opozycji /ugodowa, niepodległościowa/ i artykuł Artura Lewego /"Sygnał"/, pisany zapewne przez człowieka, który powoduje się emocjami /można wyoczuć, że jest to człowiek młody/, przy czym ta jego publikacja jest bliża tej drugiej koncepcji - niepodległościowej. Przeciwną tych koncepcji jest Gazetka dwukolorowa /nr 1, 2, 3/ Stefana Bratkowskiego, który reprezentuje grupę osób starszych, mojego pokolenia, bardziej stacecznych, dojrzałych i reprezentujących inne stanowisko, tzn. stanowisko pozytywistyczne. W tych Gazetkach - poza masą informacji, z miłą słuchającymi się inwektywami pod adresem naszej ekipy - właściwie jest tylko jedna formuła: organizujmy się, róbmy lepsze społeczeństwo.

Łukasz — Z tym, że nie jest to zaprzeczeniem pozostałych koncepcji.

W. — Tak, lecz idea ta jest jednak czymś innym jakościowo. Wobec tego chciałem zadać pytanie: jacy mamy być? Czy mamy być gniewni, bijący się o lepszą, sprawiedliwą Polskę, niepodległą, suwerenną, czy mamy iść na współpracę z naszymi władzami, ponieważ i tak jesteśmy skazani na komunizm w Europie?

L. — Wydaje mi się, że przydatne byłoby teraz odczytanie innego artykułu...

W. — Tak, tak. Myślę, że byłoby cenne, gdybyśmy poprosili teraz pana Grudę o przedstawienie nam swoich przemyśleń, które - jak sam pan to określił - są bardzo świeże i jeszcze gorące, ale stanowią - jak sądzę - interesujący przyczynek do dzisiejszej dyskusji.

Stefan Gruda — W historię "wpakowałem się" w czasie II wojny światowej, studiuję ją raczej nie na podstawie polskich źródeł /które są ogromnie zachwaszozone propagandą, a z innych: niemieckich i francuskich.

Gdy się zaczęły te nasze "zabawy" w 80 r. /łatwo było przewidzieć jak się to skończy!/, studiowałem katastrofy Europy: od wojny stułetniej poprzez wojnę 30-letnią, Rewolucję Francuską, głód w Irlandii i nasze powstania. W czasie tego wszystkiego wpadły mi w ręce i inne rzeczy, które zrobiły na mnie silne wrażenie. Pewnymi refleksjami z tych lektur chciałem się z państwem podzielić.

Nasz upadek ujawnił się przed 338 laty. Zaczął się on za Jagiellonów. Zostawiam innym ludziom ocenę tego, dlaczego tak wczesnie - sam nie potrafię tego ocenić. Takich narodów jak nasz, które upadły z mocarstwowego stanowiska, jest w Europie kilka. Wraz z nami poszły na dno: Portugalia, Hiszpania, Państwo Otomańskie i Habsburgowie - wszyscy, którzy stanowili kiedyś mocarstwa /Anglia się nie liczyła/, poszli na dno. I nie podnoszą się. Dwa państwa się ortały: Francja i Niemcy.

Wszystko zaczęło się od buntu małej grupki na kresach, od paru awanturników, ale Polska była już tak niewiele warta, że nie dała im rady. Bunt Chmielnickiego jest dowodem, że państwo polskie w XVI w. było zmuszane.

Jesteśmy 16 pokoleniem, które żyje w anormalnych warunkach. W tej chwili przygnębienie nasze jest tym większe, że są już oznaki tego, że nie należymy już do Europy: jesteśmy w trzecim świecie. Jesteśmy najbiedniejszym państwem, o najmniejszym dochodzie narodowym w Europie. W 1978 r. za nami była jeszcze Rumunia, Bułgaria i Jugosławia, na naszym poziomie - Grecja i Portugalia /główny dostawca służących do Francji - dziś służących może dostarczać Polska z tym, że na wysokim poziomie, z dyplomami doktorów/.

Najbiedniejsze państwo w Europie, w niewoli rosyjskiej, przy rządzie miernot /generałów, którzy z reguły - potwierdza to historia całego świata - nie nadają się do rządzenia, bo generalowie nie są po to, aby myśleć lecz po to, aby służyć/ - generałów i osób cywilnych. Niczego się po tym rządzie nie można spodziewać. Przy tym te miernoty są jeszcze sterowane z kraju, którego nienawidzimy, z którym jesteśmy dłużej w walce, aniżeli z Niemcami, bo od 1505 r., z kraju o odrębnej cywilizacji, której nie znośmy, która do nas nie pasuje.

Przeżyliśmy ostatnio zryw, jeden z wielu, jeden z wielu nieudanych, romantycznych: naród jest rozbity i bez wiary. Co więcej: wygląda na to, że nie ma nadziei. Jesteśmy kompletnie zdezorientowani, rozczarowani i bez żadnej perspektywy. Z tego względu, że stracono wiarę w sens wysiłków, w sens pracy, w możliwość wyzwolenia się.

Wszystkie przesłanki racjonalne, jakiegokolwiek próbowalem przyzierać, skierują ku jednemu: ku zagładzie. Nawet nasze państwo obecne jest jednym tylko więcej argumentem za tym, że idziemy w kierunku zagłady.

Co zostaje? Zostaje czynnik nieracjonalny, czyli emocjonalny - zostaje n a d z i e j a . Bez niej życie byłoby niemożliwe.

Pan Michał Poniatowski /przebywający we Francji pótomek Stanisława Poniatowskiego, bratanka Augusta Poniatowskiego/ napisał książkę, która mi wniosła pewien element nadziei. Jak on określa epokę, w której żyjemy? z której chce się właśnie wydobyć Polskę? We Francji są takie zdania, że kończy się cywilizacja zachodnia, która przewodziła światu od średniowiecza, że biała rasa się kończy w Europie i przyjdzie nowa cywilizacja, z Indii. A to co dziś, pójdzie na rumowisko. Michał Poniatowski jest innego zdania. Napisał książkę na ten temat. On uważa, że to nie koniec, lecz zakręt, wielki historyczny zakręt. A na zakręcie nie można ekstrapolować, na zakręcie odsłaniają się nieznanne horyzonty. Powiada, że to zakręt, nie upadek, że jeszcze nie wszystkie atuty białej rasy zostały wygrane, że jeszcze ma ona wielką siłę napędową, choć wszystko jest kontestowane: rodzina, państwo, religia, upadek bogów - nawet bóg postępu traci swoich wielbicieli /no, może został jeszcze Mamon czyli Złoty Cielec, wokół którego jeszcze są zwolennicy/, upadają wszystkie -izmy, z patriotyzmem włącznie, sztuka, sens życia - wszystko jest kontestowane. Nowa epoka atomowa, która stworzyła nowe warunki życia, przetwarza psychikę ludzką. Poniatowski w swej książce powiedział tak: nie wiem co będzie, ale wiem, że idą wielkie przeobrażenia w życiu świata, że świat się gruntownie zmieni: epoka oparta na kulturze grecko-rzymskiej i chrześcijańskiej zamyka się, ale to nie oznacza przegranej cywilizacji zachodniej, przegranej białej rasy. Poniatowski przewiduje wielkie przeobrażenia, choć nie wie jeszcze jakie. I ja się do tego przyczepiłem. Tego mia-nowicie, że będzie przeobrażenie.

W tej mgłę przeobrażeń, które nas czekają - jeżeli nie będzie wojny totalnej - może dla nas zaświtać jakaś możliwość, która może być dla nas korzystna.

Maria..... Dla nas jako rasy białej czy dla nas jako narodu?

S.G. _____ Dla nas, to znaczy dla Polski. Trzymam się teraz naszego zaścianka, do którego jesteśmy bardziej niż ktokolwiek przywiązani: dla nas patriotyzm ciągle znaczy coś, dla nas, ponieważ mieliśmy własny kraj tylko przez 20 lat - dlatego dla nas są jeszcze ciągle pewne rzeczy święte. Takie, z których śmieją się inne narody. U nas nawet religia, jakkolwiek dużo w niej jest rytuału i pustej formy, jest żywsza niż gdzie indziej.

Dla nas, Polaków, dla nas, Narodu, może zaistnieć sytuacja korzystna. Czy jesteśmy na nią przygotowani?

W r. 1900 Wyspiański ocenił współczesne społeczeństwo galicyjskie jako bezwartościowe, niezdolne do niczego, tylko do pustych słów, pijaństwa, powtarzania frazesów i kręcenia się wokół chochoła. Życie zaprzeczyło temu. Życie przyniosło inne fakty: przyniosło rok 1914, 1915, 1918 i 1939. Polacy zdali egzamin w ciągu 20-lecia międzywojennego.

W tej chwili przeżywamy największe dno. Jesteśmy na dnie Europy z naszą biedą, która nam dokucza. Doprawdy podziwiać można ludzi, że w tej sytuacji, w sytuacji trzeciego świata, żyją bez frustracji całkowitej, że poważna ilość ludzi jest wartościowych, że nie dała się ogarnąć nihilizmowi. Widzę jednak u Polaków rzeczy złe: przewagę romantyzmu nad realizmem.

Xawer _____ Cóż nam zostało?

S.G. _____ Ten romantyzm, który tkwi w nas, doprowadził nas do wielu rzeczy niepożądanych i on raczej pozostanie jako nasza ocea narodowa. Powinien być rozwijany zmysł realizmu. Naszym zadaniem jest "otwierać głowy", wydobyć się z zaścianka, przestać myśleć tylko o przeszłości. Więksi od nas upadali. Nie trzeba ciągle wznosić Polski Jagiellońskiej "od morza do morza", różnych mitów, nie trzeba się dać uwodzić pięknymi słowami /jak "mierz siły na zamiary" itd./, lecz każde działanie ma być skuteczne. Jeżeli działanie ma być nieskuteczne, nie należy go podejmować.

W myśleniu Polaków trzeba obalić wiele mitów. Obalić m.in. mit, że oto jesteśmy pod specjalną opieką Matki Boskiej, która nie ma innego zajęcia tylko się nami opiekować - nie wiadomo właściwie dlaczego. Obalić trzeba i drugi mit: że przyjaźń Zachodu, w szczególności Francji i Ameryki /to akurat dwa najbardziej egoistyczne narody/ jest z nami, że ich obchodzi bardzo nasza sprawa. Trzeba ludzi przygotowywać powoli na to, że stare pojęcia suwerenności są przestarzałe. Państw suwerennych /jak to wyobrażaliśmy sobie w XIX w./ nie ma i być nie może. Tak jak upadły kiedyś państwa-miasta greckie i nigdy nie mogły powstać, tak nie mogą powstać państwa w pełni suwerenne. Francja też nie jest całkowicie suwerenna - nie mówiąc o Belgii itd. Te rzeczy trzeba sobie uświadomić.

Musi upaść w Polsce teoria dwóch śmiertelnych wrogów /Niemcy, Rosja/, bo jeżeli to jest prawda, to zażyjmy ojanek. Musimy się sorientować gdzie jesteśmy, do kogo należymy. Należy obalić przekonanie o odwiecznym wrogu niemieckim - mimo wszystkich naszych resentymentów, wszystkich zbrodni, Oświęcimia itd. Trzeba ozerpać realizmową wiedzę z naszej przeszłości, podtrzymywać ducha, ale nie sztucznie, nie narkotykami, nie powstaniem, tylko rzeczowymi argumentami, faktami. Bo jednak, mimo tylu nieszczeń, nie upadliśmy całkowicie. Przetrwaliśmy!

Przede wszystkim musimy mieć l u d z i - ludzi zdolnych do trzeźwego myślenia i kierowania. Proszę państwa: w tej chwili w Polsce nie ma ni jednego człowieka, który by się ujawnił z tym, że potrafi kierować! To są narwańcy przeciw! Ostatnim człowiekiem, o którym można by powiedzieć, że nadawał się do wyznaczenia kierunku, był Wyszyński. Teraz mamy tylko symbole, a nie ludzi, którzy by mogli być przewodnikami.

MUSIMY PRZYGOTOWYWAĆ LUDZI MŁODYCH /bo nie wiadomo jak długo to potrwa/, aby - gdy znowu "Polska wybuchnie" znalazł się w niej znowu Grabki, Kwiatkowski i Piłsudski też.

Ł. _____ To jest - przepraszam za przerwę - powtórzenia pewnych tez Bratkovskiego. I to bardzo dokładne. Z tym, że ja tutaj dostrzegłem pewną niekonsekwencję /jeżeli można w tym miejscu coś powiedzieć.../ - mianowicie wcześniej powiedział Pan, że należy odrzucić grzebanie w przeszłości...

S.G. _____ Przeszłość daje podstawę do przyszłego działania. Odrzucić trzeba tylko mity o wielkości, mity o zupełnej suwerenności i o mocarstwowości. To miałem na myśli. Powinniśmy leczyć się z naszych narodowych chorób. To zadanie dla niezależnego ruchu wydawniczego. Powinniśmy przestać wreszcie liczyć na Zachód, który nas ciągle zawodzi. Moim zdaniem też, Polacy powinni powoli przyzwyczajać siebie, ludzi myślących, do pozytywnego myślenia o Niemcach.

Czas przeobrażeń będzie długi. W czasie tych przeobrażeń musi przerwócić się nieżyłociowy system, system, w którym wszystko jest postawione na głowie.

M. _____ Sam?

S.G. _____ Nie wiem jak i nie wiem kiedy, ale przerwócić się musi. Dopomuze temu zapewne przebieg wydarzeń w samej Rosji, która jest jego głównym oparciem /a jestem przekonany o tym, że przeobrażenia psychiczne w narodzie rosyjskim, choć powolne, jednak następują/, dodatkowym czynnikiem będzie chyba jego chroniczna niewydolność ekonomiczna. Być może dopomoga temu wydarzenia i w innych krajach. Chociaż.... Nie wiem jak swego czasu państwo to oceniali, ale ja zdumiony byłem tym, że działalność "Solidarności" nie znalazła odzewu ani na Węgrzech, ani w Czechosłowacji /no, wiedziałem, że na Rosję nie było jeszcze co liczyć/. Nawet jeśli jakiś tam odzew był, to moim zdaniem był on zbyt słaby.

Ale - wracając do głównego wątku - musimy więc mieć otwarte głowy, musimy sobie zdawać sprawę z tego, gdzie jesteśmy, jacy jesteśmy; w polityce musimy się kierować wyrachowaniem, myśleniem racjonalnym, a nie emocjami, liczyć na zrywy, które do niczego nie prowadzą.

Ł. _____ Jeżeli pozwoli Pan sobie wpaść w słowo... Wydaje mi się, że jest tu odpowiedź na pytanie dlaczego nie znaleźliśmy tego odzewu na Węgrzech np. Oni już się wylaczyli z tego romantyzmu.

S.G. _____ Tak, ale ja myślałem, że powstanie u nich ruch taki jak u nas, ruch publikatorski, ruch wolnego słowa....

Ł. _____ To się nie tworzy tak zaraz, do tego jest potrzebna ochociaży technika.

S.G. _____ U nas jednak te pisma wychodzą. Wprawdzie czytam w nich prawie wyłącznie negację, ale uważam, że w tej chwili nie można się było na nic innego zdobyć. Czas już jednak, by zaczęła się wykluwać jakaś myśl pozytywna. Choć na ogół Polaków oceniam negatywnie, jako ludzi niezdolnych do zorganizowania państwa.

Ł. _____ Powiedział pan, że zostało jeszcze dwóch bogów: Mamon i Złoty Cielec /J.B. - no, jeszcze Wenera/. Dobrze, i Wenera. Sądzę, że tutaj należy szukać przyczyny tego, że np. na Węgrzech i w Czechosłowacji sytuacja w okresie naszego Sierpnia wyglądała tak, a nie inaczej. Stawiałbym jednak pewne optymistyczne prognozy. W ubiegłym roku, po raz pierwszy od 15 lat miały w Czechosłowacji miejsce manifestacje związane z rocznicą agresji 68, a sytuacja ekonomiczna tego kraju przypomina w tej chwili naszą z roku 76.

W pewnym sensie nasz rok 80 został sprowokowany polityką gierkowską:zo-

stały otwarte granice, przepływ informacji był praktycznie bezproblemowy, nastąpiło podniesienie stopy życiowej. Bunt zrodził się w momencie, gdy wystąpił świeży kontrast: było dobrze, jest gorzej. Moim zdaniem mniej jest prawdopodobne, by bunt nastąpił w takiej sytuacji, jak nasza obecna, gdy jest totalnie źle, gdy gonitwa za podstawowymi bytowymi sprawami wypełnia życie właściwie bez reszty. Jest naprawdę niewiele ludzi skłonnych tak całkowicie odrzucić sprawy doczesne.

_____ Tak, oczywiście że jest ich niewiele... Ale jednak są.

_____ I to jest sposób na spacyfikowanie nastrojów w Polsce - ta bieda, ten brak wszystkiego.

Czechosłowacja jest - wg mnie - na b. dobrej drodze do powtórzenia /na pewno nie ścisłego, bo oni mają również już pewne doświadczenia/ Polskiego Sierpnia. Dziś tamtejsi ludzie zaczęli już szukać dóbr nie tylko konsumpcyjnych. /XX - Opozycyjnych?/ Tak. I to jest podstawa do optymizmu. W okresie Sierpnia Węgry wykazywali duże zainteresowanie naszymi sprawami, byli jednak sceptycznie nastawieni do naszej pokojowej rewolucji, gdyż oni już wiedzieli, jak to się może skończyć: tak jak u nich, w 56. Bo oni dostali wtedy takie lanie, jakiego wyszy naprawdę nie doznali nigdy, przez ostatnie 40 lat.

_____ To była rzeź, nie lanie.

k. _____ I to ich skutecznie wyleczyło z romantyzmu.

_____ W najbliższej przyszłości nie widzę jasnych punktów dla tych przeobrażeń, o których myśli P. Poniatowski. Natomiast sądzę, że w ciągu dziesiątek lat te przeobrażenia są nieuniknione. Wyścig zbrojeń, który jest na świecie też spowoduje pewne przeobrażenia. Są trudności i w świecie kapitalistycznym... Jakieś przeobrażenia więc będą. I będą z pewnością przeobrażenia w Rosji. I na to powinniśmy być przygotowani, powinniśmy wytworzyć pewną grupę ludzi, choćby niewielką, która byłaby zdolna do przewodzenia.

_____ Poruszył Pan zupełnie nowy problem: obok uświadamiania społeczeństwa, rekrutacja ludzi i praca z tą kadrami.

S.G. _____ To właśnie mam na myśli. Ci ludzie, ta kadra, musi być świadoma rzeczy niepopularnych w narodzie. W swoim czasie Mikołaj I, car rosyjski, angażując nauczyciela dla swego syna Aleksandra II powiedział mu tak: masz go nauczyć prawdziwej historii Rosji: musisz mu powiedzieć całą prawdę, wszystko to, czego nie mówi się ludowi. Gdy będziesz go uczył o jego babce, Katarzynie Wielkiej, która jest Świętą Imperatorem dla Rosjanina, to mój syn ma wiedzieć, że to była k... Proszę państwa! Kadra ma sobie uświadomić całą złożoność, z całą jaskrawością, naszej sytuacji, naszych wad, uświadomić sobie prawdziwy przebieg wydarzeń /np. w czasie II wojny światowej i naszą w tym okresie naiwność/.

W piśmiennictwie niezależnym powinny być narzędki myśli politycznej, żebyśmy się nie zagubili w tej nieszczęśliwej Europie, ciągle zagrożeni przez dwa narody ościenne, z których jeden jest groźny przez swą mongolską mentalność, posłuszeństwo....

Leszek _____ I program władzy - imperialistyczny.

S.G. _____ Tak. To naród, który nie zna słowa "nie" w stosunku do władzy. Z drugiej strony mamy takiego sąsiada, któregoś - my w czasie okupacji próbowali lekceważyć, a trzeba było aż trzy potęgi szlachyć, żeby dać radę Niemcom. Pamiętaj, że w momencie,

gdy to sobie uświadomiłem, nastąpiła u mnie rewizja pojęć. Skoro dopiero połączone siły trzech mocarstw dały radę Niemcom, to - pomyślałem sobie - naród ten wymaga większej uwagi. Na naród ten - moim zdaniem - nie powinniśmy spoglądać inaczej jak tylko na masze naturalne naplecze. Być może, że bęgniemy z nimi powiązani bardzo silnie, bo suwerenność absolutna jest dzisiaj niemożliwa.

Przesłuchałem taśmy Bratkovskiego, przeczytałem artykuł Lewego i Nowego. Po tych lekturach przyszły mi na myśl takie myśli - może nieorganizowane - ale pozwolę je sobie tu przedstawić.

Na jakich przesłankach oparte są nadzieje, że "młodzi" u władzy w Rosji odniosą się z wyrozumiałością do idei Polski demokratycznej? współdziałającej z Rosją? Niepodległa, demokratyczna Polska nie może przecież dać gwarancji Zw. Radzieckiemu, że zwiąże z nim swoje losy, bo to jest sprzeczne z pojęciem demokracji. Rządy demokratyczne ulegają zmianom, zależnie od tego, kto wygra wybory. Osobiście widzę konsekwentne parcie Rosji we wszystkich kierunkach, od czasu Piotra Wielkiego, niezależnie od tego, czy na czele państwa stoi car czy I Sekretarz - na Zachód. Rosja, w tym parciu na Zachód, traktuje Polskę jaką swoją największą zdobycz. Wchłonąć Polskę chciała w swoim czasie już Katarzyna Wielka, ale wtedy jej się to nie udało, na skutek polityki Fryderyka II pruskiego. Rosji udało się - wreszcie - wchłonąć Polskę po II wojnie światowej. Dziś Rosja pochłonięła Polskę całą i uważa to za kamień węgielny, za główny punkt oparcia całej struktury w Europie. Jak państwo popatrzą na mapę to widzą, że wyłączenie Polski zawałiłoby wszystko, co zdobyli.

Dlatego sądzę, że te wszystkie myśli prorosyjskie, które czasem czytam, że można z Rosją dojść do porozumienia, wyłączyć się z systemu komunistycznego i pozostać z nimi w zgodzie - to są naiwności. PRZY ROSJI NIEWOLNICZEJ NIE MA MIEJSCA NA POLSKĘ WOLNĄ. A pojęcie wolności obywatelskich jest w Rosji nieznanne. Rosja nie zna prawdziwych wyborów. Oni w ogóle nie rozumieją pojęcia wolności! Ba! są dowody, że system wolnościowy otaczają pogardą. Nie krył się z tym Stalin uważając go za kapryśny, słaby i zmienny. Poza tym przyzwolenie na wolność w Polsce okazałoby się z wszelką pewnością zaraźliwe w odniesieniu do Węgrów i Czechów. Wolno przywódców Rosji /starych czy "młodych"/ uważać za młodszych czy większych lajdaków, ale nie za głupców. To, że nie są oni głupoami, świadczy paszo ich sukcesów: poczynając od Teheranu. Wszystkie złudy na to, że my się z Rosją dogadamy i Polska zostanie wyłączona z obszaru wpływów Rosji jako demokratyczne państwo, wolne, są - według mnie - nie do przyjęcia.

Opozycja polska działa w warunkach anormalnych, jest prześladowana, nie może być ani zwarta, ani poddana jednolitemu kierownictwu. To tłumaczy wiele: rozbieżność wypowiedzi /co nie jest wcale złe/, ich krótkowzroczność /co jest już poważnym defektem./ Gorzej jest, gdy w toku myślowym jednego autora występują wewnętrzne sprzeczności, alogiczność, a co najmniej brak spójności, hołdowanie mitom, uprzywilejowanie strony emocjonalnej kosztem zimnego rozumowania, wiara w porwy, wiara w gesty, branie marzeń za rzeczywistość, przekonanie o specjalnej opiece sił nadprzyrodzonych /Matka Boska/nad umęczoną Polską. Nie uwzględniła się przy tym, że te siły nadprzyrodzone są jakoś bezsilne wobec naszego losu. One ciągle tylko nad nami mają płakać. Cała ta propaganda jest dla naiwnych.

Naczelnym brakiem opozycji jest brak programu działania i wytkniętego celu, choćby w zarysie, choćby we mgle przyszłości. Trzyletnie nasze wyżywianie się w negacji otaczającej nas rzeczywistości było rzeczą dość łatwą. Podjąłbym się i ja redagować pismo na "nie" - nawet przeciwko p. Thatcher, zwłaszcza po Falklandach, gdy ona robi głupstwo po głupstwie. O ileż łatwiejsza to metoda /tzn. pisanie na "nie"/ w stosunku do naszego rządu i do naszego systemu ekonomicznego. Rząd nasz i tak jest słaby i praktycznie bezwartościowy. Już samo to, że jest mianowany

przez Rosję jest przez kraj nieakceptowany: składa się w dodatku z mier-
not, szuli i zdyscyplinowanych, pozbawionych własnej woli i myśli genera-
łów. Kopanie tych ludzi niczego nie da. Są bezwartościowi.

Ale - gdybyśmy w dalszym ciągu pisali tylko na "nie" - opozycja wykoń-
czy się sama. Zatrujemy się sami swoimi wydzielinami. Na dobitkę nie wy-
konii się żaden przywódca, który by był świadomy przywództwa. Mieliśmy
ich przed I wojną światową. Było ich paru: był Dmowski, był Piłsudski,
na przeciwnym końcu Stalin. Oni byli przywódcami. W tej chwili mamy
symbol. Tylko symbol. Przywódcy nie ma. Do młodych należy, by on się w
Polsce znalazł. Uważam to za niezmiernie ważne. Wypowiedzi Wałęsy, które
słyszę ze stacji zachodnich, może składać każdy: że reforma nie idzie,
że rząd jest głupawy, że robi kroki niepożyteczne. To są rzeczy oczywi-
ste.

Z uwagi na to, że pojazd napędzany negacją porusza się resztkami paliwa,
czas na pozytywy. Pozytywnego programu nie da się opracować na kolanie.
To trudne zadanie i nie na jedną głowę - zwłaszcza, gdy "naczelnej gło-
wy", brak. To zadanie dla zespołu. Powstać może w wyniku polemik, kontro-
wersji, lecz jest to artykuł pierwszej potrzeby. Jeżeli nie program to
plan działania - by zejść trochę niżej. W okresie niewoli XIX w., niewo-
li porobiorowej, dostrzegam wyłonienie się pozytywów i to nie na pod-
stawie spisanych i ogłoszonych programów, lecz w wyniku procesu do pew-
nego stopnia samorodnego. Co się stało w czasie tej wielkiej niewoli?
W b. zaborze pruskim powstał solidny rzemieślnik, gospodarny i świadomy
rolnik, znakomity podoficer, wyszkolony w pruskiej armii, zdyscyplinowa-
ny obywatel. W b. zaborze austriackim, najbardziej podobno słuźalczyk,
byli nauczyciele wszystkich stopni kształcenia, naukowy, urzędnicy ad-
ministracji, kolei, poczty. Wielkie były ich zasługi w Polsce 20-lecia.
Także szereg przywódców i artystów. W b. zaborze rosyjskim, najbardziej
gnębnym, powstałi bojownicy o niepodległość, oficerowie wyszkoleni
w wojsku rosyjskim aż do stopnia generała włącznie, nie gorsi od legiono-
wych, inżynierowie wykształceni przeważnie za granicą, kierujący prze-
mysłem wroga, którzy potem sprządzili się w Polsce, polityczni przywódcy,
znakomici pisarze, działający na przekór cenzurze. We wszystkich zaborach
utrzymała się wiara w niepodległość i było systematyczne dążenie do jej
odzyskania. Ze stuletniej niewoli wydobyłem takie pozytywy.

J a k i p r o g r a m ? Nasz ostatni król /słaby i bez charak-
teru, ale jednak niegłupi człowiek/ napisał w swoim notatniku tuż po wy-
borze: "Trzeba ratować naród, choć nie da się już uratować państwa".
W tej chwili nasze państwo praktycznie nie istnieje. To co jest, jest ka-
rykaturą państwowości. Naród jest w tej chwili ogromnie spustoszony, ol-
brzymia jego część mało warta. Ale mimo wszystko ten naród trzeba utrzy-
mać - skoro nie zginął przez 338 lat.

Przeobrażenia polityczne w świecie i w Europie są nieuniknione. Tak by-
ło zawsze, nawet w tzw. spokojnej przeszłości. Trzeba zadbać o to, aby
w pozytywnej dla nas konfiguracji stać nas było na inną postawę niż na
chochołi taniec. Nie wolno dać się zaskoczyć ewentualnym zmianom. Opozyc-
ja nie mająca żadnego programu na "tak" nie dokona niczego, gdyżby nawet
kraj w cudowny sposób stał się wolny. Zagubiona w marazmie czystej negac-
ji nie będzie zdolna do czynu, będzie zaskoczona i stanie z opuszczony-
mi rękami, poddając się biegowi wypadków, jak to się pokazało w drugiej
połowie 81 r. /nikt, od lipca, nie kierował "Solidarnością"/.

K. _____ Bo potencjalni przywódcy zostali odsunięci praktycznie u
schojku 80 r.

M. _____ A czy m ó g ł kierować?

S.G. _____ Nie wiem. Ale to nie było kierowane. A ruch niekierowany
wiadomo co zrobi. Był to pokaz improwizacji i żywiołowo-
ci. Negacja to nie działanie. Więcej nawet: ludzie przyzw...

TY, Z CHLEBA NOWEGO ZACZYNEM

Najukochańsza Ziemi!

Polsko!

Co w swym krajobrazie

Z soczystych pól zielonych,

Z brązowych mgieł

I z kropli karminu

Potrafisz sens wydożyć

I uśmiech miłości.

Ty co nadludzkie natężenia

Wzbudzasz filozofów i prostej kobiecie,

Ty smutna, przygnębiona

I pełna radości.

Polsko!

Poszarpana, zmięta,

W perłach, w łzach

I często zrozumiana jedynie nam tylko na świecie,

Kraju nadziei

Oraz też bez końca,

Głodna

I z chleba nowego zaczynam,

Ty nasza,

Jedyna,

Po Bogu najpierwsza

Ty dzięki której

Z najszerszą miłością spoglądać mogę wreszcie na Narody

Dla której - jak zamrożona bryła - nie da się wyrwać

I rozpylić po globu obrzeżach,

Ty moja,

Nasza,

Której - swoją czupryną ścieram zakrwawione schody,

Ty która unosisz ręce zmiewolone

Nie płacz w bólu,

W rozpacz,

W wielkiej beznadziei,

Bo z tych doznań,

Z cierpień oooooo ,

Ten lud co pozornie jest słaby i głuchy

On Ci złotą wykuwa koronę

I skroń Twoja - białoczerwono - ponad światem lśniąca

Uniesiona pełnią istnienia

Jak wiosną na nowo zrodzona

W promieniach życia i nieśmiertelności

Rozkwitnie świętym niewiedzącym kwiatem,

Już niepowiędła

I już niemiejąca.

TO NIC

To nic, że na rękach i czole
- łańcuchy

To nic, że zgłodniałe policzki
- mają bracia, tata

To nic, że nasz głos z każdą dobą
- jest jak gdyby może bardziej głuchy

To nic, że miesiące nadszei
- wydłużają się w oczekiwaniach lata.

To nie!
Bo gdy jeszcze - są na polskiej ziemi ludzie
Którzy wiedzą, że można płucami wyrwać z wyśli
takie właśnie słowa

I gdy wciąż nieprzerwanie
Nowe zastępy wyrastały dotąd - nawet na ugoru jałowej grudzie

To dziś:

- gdyż syńniej sza,
- i po ulwach,
- i w przedzierających się zza koszmarnych chmur - w słońcu
przecianach

To dziś właśnie,
Gdy pod naporem prawie nadludzkiej siły - się nie ugniewy
Życiodajny skarb przetrwania możemy zachować.

Kraków, 18-20.03. 1983 r.

STĘPIONYM GROTEM

Myślę, że nadejdą lata
I ponad rzami, cierpieniem i głodem
Na polskiej ziemi nie będzie śnia i kosił
Moskal, Asjata i Tatar
I unów nad Wisłą
Potemak bólow i ofiary
Z pawim pióram, z rogatywką w dłoni
Z czołem umieszczonym
Zasteruje Jagiellonów grodem.

Nie tylko myślę - bo czas jest świętością
Z pacierza, z czynu i z wzburszonej twarzą
Niemoc, bunt i nienawiść - przetworzy z miłością
Choć w krwioobiegu wrzód będzie!
Choć na sztoro kasy!
On nas zaprowadzi na stopnie ołtarzy

Najgłębsze myśli - wzbudzą nas do lotu
Z łopotem skrzydeł - serwilny łańcuchy
Być może zamiast prochem
Przemoc zdusimy
Naporom - obłątaniem milionów
Maszochnych jęzorami potu
Panie, błagan niech już ni kropla krwi ludzkiej
Cierpienia nie plami
A nawet przed najbardziej niepowstrzymanym
Nawet przed najgroźniejszym mordercą
Zaporę niech wzniosę - stępiionym grotem.

Kraków, dnia 25.04.1983 r.

czajeni do negocjowania nie nadają się do działania: hamują i nie mogą nigdy się stać, w żadnym układzie, siłnikiem. A trzeba przygotować s i l - n i k i .

Polska przyszłości, w którą przecież staramy się wierzyć, potrzeba będzie wartościowych ludzi w szczytlichen szczeblach i we wszystkich dziedzinach. Nie powstaną oni na zamówienie w historycznym momencie: mają się formować od zaraz, nawet w obecnych, trudnych warunkach. Trzeba zjednywać ludzi, którzy będą rzecznikami solidnego wykształcenia, przemysłeni sytuacji kraju - mimo, że inteligencja jest tak zdeptana, tak ponizona /ślusarz zarabia więcej niż prof. uniwersytetu/, nie należy się pogrążyć w niechęci, trzeba starać się być kimś.

Myślę że to, co powiedziałem, nie bardzo będzie pasować do mentalności ludzi młodych...

X. ——— No, przeciwnie.

Ł. ——— W tym miejscu potrzebnych jest chyba parę słów wyjaśnienia. Przyczyną tego spotkania był pański, niepublikowany jeszcze tekst, tezy którego zostały nam przed chwilą przedstawione. Polemizował Pan tu z artykułami Nowego, które w rzeczywistości są bardziej prowokującymi niż określającymi program. Zawarta w nich sprawa porozumienia się /ewentualnego/ z Rosjanami, jest wywołaniem problemu rosyjskiego, a nie jego podsumowaniem.

S.G. ——— Ależ ja woale nie chcę powiedzieć, że to należy oalkowicie wyeliminować.

Ł. ——— Nowy rzuca kilka myśli w próżnię polityczną, jaka istnieje, gdyż żadna koncepcja programowa nie została dotychczas wyłoniona. Cykl trzech artykułów Nowego jest cyklem wywołującym dyskusję nad programem.

Drugi problem, który się stale przewijał w Pana wystąpieniu dotyczy realnego spojrzenia na naszą historię, na mity narodowe. Wydaje mi się, że od samego początku istnienia "Myśli" staramy się od nich dystansować. Nigdy, przez okres istnienia pisma /które ma blisko 2 lata/ nie ulegaliśmy chwilowym emocjom a wręcz przeciwnie: staraliśmy się pewne sprawy tonować. Oczywiście na tyle, żeby nie wejść w konflikt z tymi, którzy byli uznawani przez Związek za oficjalną władzę. Od samego początku też założyliśmy, że jednym z elementów naszej walki musi być stworzenie organizacji kadrowej.

W. ——— I drugi kierunek o którym Pan mówił, tzn. kierunek szkolenia jest w polu naszego działania.

Ł. ——— Próbuujemy dopracować się nowej formy szkolenia kadry związanej z działalnością Uniwersytetu - nie polegającej tylko na prelekcjach, biernym uczestnictwie, ale obligującej ludzi do aktywnego uczestnictwa. W zamysle ma to być uniwersytet z dyplomami, z kollokwiami, obowiązkową obecnością, dający /po jego ukończeniu/ najnormalniejsze tytuły uprawniające czy to do wykładania przedmiotu czy nawet dający tytuły naukowe. Ci, którzy będą uczyć muszą na te zajęcia, muszą dać coś z siebie.

To jest tylko jedna z form kształtowania kadry. Natomiast uważam, że jeśli byśmy wystąpili z najlepszymi pismami, z najlepszymi publikacjami książkowymi, nawet audycjami własnej stacji telewizyjnej, to efekt propagandowy - jeżeli społeczeństwo będzie konsumować to biernie - będzie żaden. Jest prawdą już dziś powszechnie dostrzeganą, że z istnienia 35 mln antykomunistów nic w tym kraju nie wynikało.

Mity, o których pan wspominał, mają jeszcze drugi wymiar: w pewnym sensie pacyfikują one nastroje. Jeżeli bowiem ludzie wychowywani są w świa-

domości przynależności do bohaterskiego narodu powstańców, wbrew ich rzeczywistym inklinacjom do przyglądania się historii z boku, to uzyskują oczekiwaną osłonę moralną ich bierności. "W końcu gdy ja jeden z 36 mln, z przyczyn, rozumiecie, wyjątkowych, nie wezmę w tym udziału, to i tak górą nasi".

S.G. ————— Ja tych mitów nie chcę zwalczać w pełni.

Ł. ————— Też uważam, że można z nich wydobyc cechy pozytywne, ale generalnie są one szkodliwe, gdyż powodują, że na garstce straceńców, na ich śmierci, bierny, naprawdę nikczym nie wyróżniający się naród, kuje sobie mity. Ginęli zawsze najwartościowsi, a miloząca większość pozostawała - i to oni stawali się bohaterami, w każdym razie czuli się nimi.

J. Boruta. ——— Czy mogę się tu wtrącić? Pan /Gruda - przyp. red./ mówi o romantyzmie i pozytywizmie zaczynając od stwierdzenia, że nie ma żadnych właściwie racjonalnych przesłanek mówiących o nadziei...

S.G. ————— Racjonalne przesłanki prowadzą ku zagładzie, więc w tym miejscu trzeba się zwrócić do uczuciowej strony, mieć nadzieję.

J.B. ————— Czyli jednak, mimo wszystko, trochę romantycznie. Mnie się wydaje, że i mity są potężnym czynnikiem organizującym /cała sprawa Kościoła, nawet wierzenie w dogmat o opiekuńczej roli Matki Boskiej/. Właściwie nie wiem w jakim stopniu one demobilizują, a w jakim jednak stwarzają scalenie narodu.

Ł. ————— Bo też jest to jakiś czynnik scalający. Ale rozróżnijmy, ile jest w tym negatywów a ile pozytywów.

X. ————— Czy rozróżnienie tego jest możliwe?

Ł. ————— Jest możliwe. Przytoczę fakty z ostatniego okresu. 13 grudnia był ostatnim przykładem tego, co właśnie te mity potrafią zrobić z narodu. To nie tylko było saskoczenie. Ci, którzy przez 1,5 roku potrafili językami podzielić pół świata, od skapitulowali przed kilkudziesięcioma tysiącami uzbrojonych w pałki somowców.

J.B. ————— Tak, tylko wie Pan co... Pan ma trochę maksymalistyczne wyobrażenia. Ja np. byłem zawsze sceptykiem, chociaż nie jestem pesymistą. Ja zawsze lubię się przyjemnie zdziwić, że nie jest tak źle, jak sądziłem. To jest może takie taktyczne rozumowanie, ale ja myślę, że to co zostało po tym zrywie, to jest jednak bardzo dużo i to właśnie może być podstawą do budowania tej przyszłości. Ja mam oczywiście też doświadczenia z okresu tych 15 miesięcy i tych czasem kilkunastu godzin zebrań w ciągu dnia i tego nekania demokracją formalną, ale myślę, że to też trzeba w jakiś sposób wykorzystać. Jeżeli kiedyś powstanie "Solidarność nr 2" /używam tej nazwy jako symbolu/ to może już ominie błędy takiej dziecięcej lewicowości, może już nie będzie takiego formalizowania. I jednak zostało trochę tych ludzi, ludzi o naprawdę już sporym stażu, o sporych przemyśleniach. Bo coż było przed Sierpniem? Był KOR, było kilkudziesięciu ludzi, a dzisiaj jest ich jednak, mimo wszystko, kilkadziesiąt tysięcy.

Ł. ————— To są - proszę Pana - jedyne dwa pozytywy: Sierpień otworzył ludziom oczy a Grudzień stworzył szansę na powstanie rzeczywistej opozycji.

J.B. _____ Oczywiście że tak.
Ale ja miałbym do Pana /Grudy - przyp. red./ jedno pytanie: /nie rozumiem jednej rzeczy/ Pan mówi o ograniczonej suwerenności i wiem, że pan nie rozumuje w kategoriach brzeznieewskich...

S.G. _____ Nie.

J.B. _____ Oczywiście że tak, to już w tej kwestii nie będziemy polemizować. Mówi pan, że dzisiaj nie ma już takiej bezwzględnej suwerenności itd, itd. Mówił pan też o konieczności zarzucenia koncepcji tych naszych dwóch śmiertelnych wrogów, proponował reorientację myślową na Niemców. No tak, ale jak mamy się taktycznie ustawić wobec tego naszego zasadniczego wroga? czy wobec niego również obowiązuje ta ograniczona suwerenność?

S.G. _____ Nie mam tej sprawy przemyślanej.

J.B. _____ Właśnie, a to mnie niepokoi. Wobec Niemców to jest daleka przyszłość.

S.G. _____ Tak, wobec Niemców to przyszłość. W czasie okupacji byłem aresztowany i zagrożony poważnie /trzykrotnie/, przesiedziałem pewien czas, wśród moich bliskich są rozstrzelani, i ja, po tych wszystkich rzeczach, po przeanalizowaniu całości zmagania Polaków z Niemcami, zarówno w czasie zaborów jak i przedtem, /przy tym, że jednak ogromna masa rzeczy u Niemców mi nie odpowiada/ jestem z ogromnym uznaniem dla ich potęgi organizacyjnej, ich pracowitości - zdejmuję kapelusze /jeżeli tak mogę powiedzieć/ przed tym wszystkim, co Niemcy dokonali.

Moja reorientacja na Niemcy jest przemyślana. Gdyby przyszła w Europie nowa konfiguracja, gdyby państwo suwerenne zostało w dużej mierze przekreślone, w tej nowej Europie, którą nie bardzo widzę, nasze miejsce jest, mimo wszystko, przy Zachodzie, a Zachód kojarzy mi się tu z Niemcami. Taki jest tok mojego myślenia. W nim mogą być wielkie luki - oczywiście.

Natomiast w stosunku do Rosji... proszę państwa: ja jestem bezradny: - staram się zwaloczyć u siebie zoologiczną niechęć. Przychodzi mi to z trudnością. Dla mnie Rosja to Azja. Ja tej mentalności nie rozumiem. Zrozumiałem jedno: te narody nie umieją swoim władcom powiedzieć "nie"! To są narody, które nie rozumieją słowa "wolność". Stąd moja odporność na koncepcję symbiozy z Rosją.

J.B. _____ W Pana tezach konieczne są pewne uproszczenia i uogólnienia. Zgodziłbym się może z generalną oceną Rosji, natomiast wydaje mi się, że ewolucja /To jest jeszcze przyczyną do oddźwięku jaki miała np. "Solidarność" w Rosji/ to nie jest dokładnie i tak całkowicie jakby można było sądzić. KOR u nas kiedyś też był samotny. Ja się sam nieraz dziwiłem sobie: no bo właściwie to ja jestem taki niby niezależnie myślący ale nie wiem czy ja bym - w tamtych czasach - podpisał jakiś list czy coś takiego. Nieraz się tak zastanawiałem nad tym i nawet siebie wyrzucałem tę postawę.

L. _____ Zastanawiał się Pan, czy Pana na to stać?

J.B. _____ To znaczy nikt mi nie proponował tego, ale był jakiś taki ogólny paraliż i to u ludzi, którzy byli całkowicie predystynowani do tego, którzy w pierwszej kolejności powinni byli to zrobić. Nie dlatego, że byli prześladowani, ale z punktu widzenia formacji duchowej. Mnie się wydaje, że teraz właśnie następuje "zmiana warty" w Rosji. Przychodzi młode pokolenie, które jest jednak zawsze odmienne. Ta niewolniczość rosyjska.... Ponieważ siedzę w tych sprawach, to wydaje mi się, że jest to w pewnym sensie samospowiedli-

wianie się nasze - wydaje mi się, że w podtekście jest tu jednak zwy-
żona ocena nasza. Zawsze takie ogólne potępienie innego narodu jest
właśnie samoobroną, podświadomą, ale w dużym stopniu samoobroną, tzn.
operowanie jakąś taką typologią, że Rosjanin to niewolnik. W ten sposób
fenomenowi hitlerowskiemu też nie wyjaśnimy. Rosjanie bardzo się bronią
przed tym - co jest zrozumiałe - /Solżenicyn, m.in./ żeby nie tłumaczył
komunizmu rosyjskością, że to jest po prostu sprawa ideologii. Zdarzyła
się taka koniunktura właśnie w Rosji po I wojnie światowej, że władza
leżała na ulicy i komuniści ją przejęli. Mimo wszystko był parlament ro-
syjski - Konstytuanta, która rozpuśczone została 6 stycznia 1918 r., wybo-
ry były bardzo do niej demokratyczne /są na to dowody, obserwacje zagra-
niczne/, nadszpedzanie sprawnie przeprowadzone, tylko, że bolszewicy
przegrali i w zw. z tym nie uznali tej formy za właściwą i rozpuścili
Konstytuantę /były przy tym krwawe zajścia/. W Rosji była jednak wtedy
jakas forma parlamentaryzmu i normalnego rządu. Choć u nas tworzy się
stereotyp despotycznego caratu, to nie było oczywiście tak. Był ogromny
kryzys władzy, która nie była dostosowana do rozwoju ekonomicznego i
społecznego, co się zdarza. Było paru b. mądrych ministrów i był ograni-
czony car, była zdemoralizowana "wierzchuszka" - w tym momencie przyszli
bolszewicy, wykorzystali sytuację i stało się tak, jak się stało.

Ale sądzę że teraz, mimo wszystko, następuje w Rosji jakaś odnowa ducho-
wa. Ciągłe słucham audycji zachodnich po rosyjsku /radia "Svoboda" zwa-
szcza/, które podają o dziesiątkach przypadków, że w jakimś np. Tomsku
kierownik laboratorium, członek partii, nagle produkuje jakieś ulotki,
jakieś pismo wydaje, skupia koło siebie kilkunastu ludzi - a to jest Sy-
beria. Oczywiście, to jest mało, ale my też bolejemy nad tym, że i nas
jest mało. Jednak skala ryzyka podejmowania tam podobnych rzeczy jest
nieporównywalna, nieporównanie większa, zatem również istnienie tych lu-
dzi jest czymś wyjątkowym. Spotykałem się też z pewnym środowiskiem nau-
kowym, w którym wszyscy uwielbiają Sacharowa, ale oczywiście, jak jest
podpisywanie potępienia Sacharowa /bo przychodzą tam do gabinetów uczo-
nych/ - każdy się podpisuje, bo inaczej wyleci z pracy. W czasie nasze-
go okresu "Solidarności" pewna znajoma mówiła mi, że w Moskwie zaczepia-
no ją na ulicy i mówiono: niech pani pozwoli uciągnąć sobie rękę. Widzę
też ewolucję u swoich znajomych. Wszyscy są w moim wieku lub starsi. Po-
woli, ale jednak i tam się zmienia. Oczywiście nie byłam na wai, nie by-
łam wśród robotników, więc nie wiem jak sprawa wygląda w tych środowi-
skach, ale zwykle najpierw zmienia się wśród inteligencji, bo przecież
inteligencja produkuje pewne idee, które potem trafiają do mas. Zawsze
tak było.

Bolszewicy w r. 1917 liczyli tylko 70 tys. ludzi. To była kropla w mó-
rzu. Oni nigdy tak naprawdę nie byli "bolszewikami", w gruncie rzeczy
byli "mieszczkami", nawet w stosunku do socjaldemokracji. Byli "bol-
szewikami" tylko przy dyskusowaniu pierwszego punktu programu w 1903 r.
Na tym jednak polega ich sztuka, że oni zawsze zmieniali sens słów.

Wie pan... ja wcale nie twierdzę, że pan nie ma racji jeżeli Pan
optuje za tym, żeby jednak prowadzić politykę /uprasszczam to/ antyrosyj-
ską. Jestem przeciwny wszelkim zrywom, z natury jestem pozytywistą, uwa-
żam jednak, że ta nasza antyrosyjskość /strategiczna i taktyczna/ powin-
na przebiegać w kierunku pełnego uświadomienia zagrożeń, jakie stwarza
ten ustrój w postaci radzieckiej - przez uświadamianie historii najnow-
szej na tym odcinku, przez udowadnianie absurdów, nonsensów i zagrożeń
duchowego, jakie płyną właśnie z tej ideologii /niekoniecznie z
rosyjskości, ale z ideologii, która kojarzy się nam głównie z chrządkiem
moskiewskim, bo Chiny są daleko/. Sądzę, że tego typu postępowanie jest
jak najbardziej konieczne. Boję się, że my się przyzwyczailiśmy do tego so-
wietyzmu - choć na razie nie widać niebezpieczeństwa.

SG. _____ Na razie nie widać bo to, co oni podają, spływa po Pola-
kach jak woda po gęsi.

- J.B. _____ To znaczy może nieco inaczej: Polacy sobie nie uświadamiają, że jednak trochę to wsiąka.
- SG. _____ Pan uważa że wsiąka? - Wsiąka, wsiąka. My się jednak bronimy.
- J.B. _____ My się bronimy bardziej negacją. I te mity też pomagają.
- W. _____ Chciałbym zrozumieć pańską tezę: czy to co pan mówił o tej młodszej generacji rosyjskiej, o przetrwaniu ducha demokratycznego, czy to by się wiązało z pańskim przesłaniem o jakichś zmianach przyszłych, które mogłyby nastąpić w rosyjskim sposobie myślenia jeżeli chodzi o politykę zagraniczną?
- J.B. _____ Trudno mi powiedzieć. Ja nie użyłem tego słowa o duchu demokratycznym.
- W. _____ Tak, ale jak powstaje ruch opozycyjny to wynika to z tego, że jakaś grupa ludzi dąży do większej demokracji, wolności...
- J.B. _____ Na dłuższą metę uważam, że tak, to znaczy ja bym był skłonny wierzyć Kożakowskiemu, który twierdzi, że ustrój jest niereformowalny, ale nie jest sztywny, bo on się zmienia naturalnie.
- L. _____ Chciałem zwrócić uwagę na pewną myśl orwellowską, która /jak mnie się zdaje/ leży u podstaw komunizmu, że oni jako właśnie pierwsza formacja polityczna zrozumieli, że przez całkowite eliminowanie opozycji można rządzić wiecznie, jeżeli się nie dopuści do powstania klasy średniej, która by miała warunki, by się rozwinąć i przejąć władzę, to praktycznie ta formacja polityczna będzie wiecznie. Mnie się wydaje, że to jest przez nich realizowane.
- J.B. _____ Wie Pan, ja nie sądzę, żeby jakikolwiek rząd, czy formacja polityczna, nie sądzili o sobie, że są wieczni. Jedną stroną zagadnienia to jest przekonanie rządzących /tych depozytariuszy ideologii/ a druga to realny przebieg procesów społecznych czy politycznych. Mnie się wydaje, że tutaj jest jeszcze kilka spraw: jest problem narodowościowy /z reguły dosyć wybuchowy/, jest kwestia i taka, że system zaczyna być odczuwany jako okrutny, kiedy następuje zlenizowanie. Po XX Zjeździe zaczęto odczuwać niesamowitość tego systemu, kiedy on już nie był taki niesamowity, a w okresie stalinowskim to odczucie nie było powszechne. Za Stalina wszyscy uważali, że to jest wieczne i niezmienne, natomiast ujawnienie rąbka tajemnicy /bo to był rąbek, to co powiedziano na XX Zjeździe: Chruszczow powiedział tylko, że Stalin niesłusznie niszczył dobrych towarzyszy, bo przecież poparł absolutnie niszczenie opozycji, a tym samym zbrodnię popełnioną na Bucharinie, Zinowiewie itd./, spowodowało lawinę.
- L. _____ Tutaj pan potwierdza tezę Władka, że jednak ta świadomość, iż likwidacja opozycji zapewni im władzę wieczną jest tam pokutującą z pokolenia na pokolenie władzy. A w związku z tym sprecyzujmy pytanie: czy są jakiegokolwiek nadzieje, że to nowe pokolenie zmieni w tym zakresie, który nas interesuje, cokolwiek? Np. zmieni swą politykę w kierunku nielikwidowania do końca opozycji? Jakże pozytywny może ta władza dostrzec w tym, że opozycja będzie istniała?
- J.B. _____ Na pewno przyszły sekretarz generalny nie ma żadnego planu liberalizacji.
- L. _____ To jak ta liberalizacja w takim razie nastąpi?

J.B. _____ Właśnie o to chodzi: to jest wypadkowa tej presji oddolnej. Obecna elita jest oczywiście doskonale oderwana od społeczeństwa.

L. _____ Tak samo będzie z każdą następną elitą. Po co by mieli do tego dopuszczać, jeżeli to dla nich byłby początek końca?

J.B. _____ Takiej perspektywy oni naturalnie nie widzą, nie mają, ale chodzi o adaptację ustroju do zmieniających się warunków. Obserwuję od lat, jaką katastrofalną rzeczą rozkładową dla tego systemu jest postęp naukowo-techniczny, bo on doprowadza do stałej konfrontacji ze światem zachodnim. Nawet samochód i wszystkie dobra techniczne, które są wyłącznie na licencji zachodniej, doprowadzają do erozji systemu ideologicznego, do niewiary w jakkolwiek wyższość tego ustroju w czymkolwiek. Oczywiście nie budują tylko na tym. Nie jestem specjalnie zwolennikiem takich syntez ogólnych, tworzenia wyobrażenia o komunizmie jako o pewnym bycie absolutnym, który jest monadą niezależną w ogóle od otoczenia itd. Myślę, że to jest wynik również kryzysów ekonomicznych, konieczności pójścia na kompromisy - nie wykluczam wcale częściowej reprivatyzacji rolnictwa, powiększenia działek, co spowoduje uniezależnienie się polityczne dużej części społeczeństwa.

Rzecz polega przede wszystkim na utracie monopolu partyjnego: obecnie partia jest absolutnym monopolistą we wszystkich dziedzinach życia społecznego, gospodarczego i duchowego.

W. _____ Dziś trójwładza. A w przyszłości dwuwładza?

J.B. _____ Oczywiście. I sądzę, że trend, który musi nastąpić, będzie polegał na ustępowaniu partii z pewnych pozycji.

W. _____ Nie bardzo jednak rozumiem, na czym opiera Pan swoje przekonanie?

X. _____ Czy na tym, że im gorzej, tym lepiej?

J.B. _____ Niekoniecznie. Obserwuję w rosyjskich środowiskach naukowych pewne formy jakiejś demokracji, wpływania tych środowisk na pewną ewolucję systemu. Kiedyś czytałem wywiady z kosmonautami, którzy brali udział w eksperymencie "Sajuz-Apollo". Oni tam mówili, że kosmonauci amerykańscy mają np. wielki wpływ na program, a oni nie mają żadnego, i dlatego mają gorsze wyniki. Przemyslenie kolejnych niepowodzeń technicznych w tych eksperymentach /pochłaniających kolosalne nakłady/ wskazywało na źródła ich nieefektywności. Po każdym takim nieudanym eksperymencie jego kierownik staje na dywaniku przed sekretarzem generalnym, który mówi: towarzyszu, dlaczego tak jest? A ten mówi, że np. jeden był Żydem, świetnie zapowiadającym się, ale musieli go wywalić, drugi miał krewnych za granicą itd. itd. Czyli okazuje się, iż eliminuje się b. cenne jednostki i to kosztuje coraz więcej. Np. rolnictwo: przeciw dotacje na rolnictwo radzieckie są siedmiokrotnie większe niż na amerykańskie. O tym się nie wie, ale tak jest. Mówi się często, że ono jest niedoinwestowane. To jest nieprawda: miliardy środków idą na rolnictwo radzieckie. A jednak coraz częściej pojawia się problem nieefektywności tego rolnictwa i to w skali niespotykanej dotychczas.

Sądzę, że to ciśnienie różnych czynników spowoduje jednak, mimo wszystko, pewną erozję i zmianę tego systemu. Ja sobie tego nie wyobrażam, nie wiem jak to będzie - to może być kolejna np. katastrofa lotnicza, może to być kolejne zestrzelenie czegoś tam, dokona się może pucz na Kremlu. To zestrzelanie samolotu koreańskiego /o czym się powszechnie nie wie/ było spowodowane pijactwem pracowników obsługi stacji. Zapili po prostu. Odwołano oczywiście kilkunastu generałów. To są fakty.

Mówi się bardzo często, że ten system celowo prowadzi do zagiady. Ja nie wierzę w to, że on. np. celowo rozpija ludzi. To jest skutek, nie przyczyna.

L. _____ Pan mówi że tak, jakby nami rządzili ludzie, a są oznaki tego, że nami nie rządzą ludzie, tylko system. Pan mówił np. że wchodzi nowi ludzie i oni mogą być inni. Uważam, że nowi ludzie są dużo gorsi od poprzedników, bo starsi mieli przynajmniej swoją ideologię /jaka tam ona była, taka była, ale postępowali wg niej/, natomiast młodzi już się nauczyli jak postępować według reguł tej ideologii, niezależnie od swoich przekonań, nauczyli się cynizmu.

J.B. _____ Ja raczej operuję biografią ustroju, a nie biografią ludzi.

S.G. _____ W "Dysproporcjach" Kwiatkowskiego jest opisany stopień demoralizacji narodu polskiego w 1918 r. tzn. tej jego warstwy, która za naród uchodziła, szlachty. Kwiatkowski przeprowadził bezlitosną analizę bezwartościowości społeczeństwa szlacheckiego - tak bezlitosną, że każdy kto ma za sobą antenatów szlacheckich, powinien zacierać ślady swego pochodzenia, zmieniać nazwisko na chłopskie. Według Kwiatkowskiego, szlachoci XVIII w. to głupiec, a magnat to głupiec i szuja. Jak więc nastąpiło odrodzenie? Cała góra była absolutnie bezwartościowa: od króla poprzez wszystkich biskupów, z Księciem Józefem włącznie, a odrodzenie nastąpiło od najuboższej szlachty. Niemcy nie szcząc ten naród zapomnieli, że jest warstwa zdolna do regeneracji i że ten zar, który był w tej warstwie, nie został stłumiony.

Zdaje sobie sprawę z tego, jaki jest potworny upadek teraz: błazństwo, partactwo, pijaństwo - to wszystko mnie strasznie drażni, ale optymizm jest potrzebny. W 1930 spotkałem człowieka, który w Rosji przeżył rewolucję i który powiedział mi oryginalną tezę: że rewolucję robi siąby rząd. Powiem jak chemik: gdy zmniejszam ciśnienie w kotle, który jest pod ciśnieniem, to następuje potworne wrzenie, olbrzymie wzburzenie.

Uważam, że nie można odrzucić zmian, które mogą być w Rosji. Wiktor Niekrasow w swoim wywiadzie dla "Sterna" w 76 r. stwierdził, że Rosja jest krajem martwym, że inteligencja rosyjska jest przez ten matowy ustrój tak zgnębiona, że tego znieść nie może. To jest pewne źródło optymizmu. Przemawiałoby to jednak trochę przeciwko temu, co chwilę temu powiedziałem, że nie zna pojęcia wolności...

J.B. _____ Ja bym tak trochę cynicznie powiedział: nawet mając świadomość pewnej nadziei /bo to są nadzieje na razie, nie fakty/ trzeba jednak, mimo wszystko, trzymać się takiej właśnie tezy. Nigdy nie zdradzam oficjalnie swego optymizmu co do tych spraw, ponieważ jest to optymizm na bardzo daleką metę. Skala problemów, rozmiar kraju, trudności, są nieporównanie większe jak w Polsce. U nas ta dynamika jest szybsza, te okresy się powtarzają, a tam to jest jeszcze na razie wszystko w takim zamrożeniu. Myślę, że stanowisko taktyczne powinno być takie: mając świadomość, że to nie jest takie zamrożone na stałe, stabilne, jednak założyć sobie trzeba totalną wrogość tego ustroju, tego systemu. A rozróżnienie między rosyjskością a sowietyzmem jest dość subtelne.

Właściwie my nie możemy wpłynąć w żaden sposób na bieg wydarzeń w tamtym kraju, natomiast możemy robić u nas wszystko to, co się da i robią to - tak czy owak - wypłyniemy.

K. _____ Musimy się liczyć z tym, że rozwiązanie problemu polskiego na pewno nie będzie tylko nasze, wewnętrzne. Wierzę, że jednak Węgry, Czechosłowacja, kraje środkowej Europy, będą miały w tym jakiś udział.

..... Idea Wiołany Ludów po raz drugi?

..... Nie, tak daleko bym się nie posuwał. Wydaje mi się, że to będą sprawy od siebie niezależne, że nie dojdzie nigdy do pełnego porozumienia, gdyż jest to po prostu niemożliwe, także technicznie. Nie wyobrażam sobie w tej chwili rozpoczęcia stałych roboczych kontaktów z jakąkolwiek grupą opozycyjną chociażby za miedzą, w Czechosłowacji... Mamy problemy z porozumieniem się nawet na własnym podwórku.

X. Moim zdaniem ta cała nasza rozmowa zawiera za dużo gdybania i doprowadza do końcówki, w której stwierdzamy, że właściwie nic nie wiemy. Trzeba zdać sobie sprawę z tego, kim my, Polacy, naprawdę jesteśmy. Powiedziano tu, że jesteśmy tradycyjnie prozachodni. Nie rozróżniamy w tych rozważaniach systemu od ideologii. W ideologii ja widzę maksymalizm rosyjski. System ma, być może, mnóstwo elementów samonapędzających, które poszły w ruch i już nie są kontrolowane - on na nas tak samo wpływa.

L. Mnie się wydaje, że tej ideologii już nie ma. Ideologia została zastąpiona....

X. Cynizmem? Oczywiście, moglibyśmy zastanawiać się nad cynizmem ideologii.

Zawsze, w każdym systemie będą wielką rolę odgrywały indywidualności i jednostki, tworzenie kadry, ale tylko wtedy, kiedy system będzie umożliwiał swobodne tworzenie się osobowości. Musimy jednak wrócić do tego, jakie jest nasze miejsce teraz, czym jesteśmy i co możemy zrobić. I tutaj bym rozpatrywał nas, w aspekcie "my a społeczeństwo". Powinniśmy rozważać nie tylko zagadnienia naszego dziedzictwa kulturowego, ale też tego społeczeństwa: jakie ono jest i jakie ono nam daje warunki. Tu jest miejsce na politykę, ideologię, warunki, cele, możliwości działania.

S.G. W oddziaływaniu na społeczeństwo za b. istotne uważam odfałszowywanie historii. Wiem, że w stosunku do Niemców jest ogromna masa uprzedzeń w grupie ludzi, których uważamy za zdolnych do samodzielnego myślenia. Nawet wśród nich jest ogromnie dużo pozostalości po wpływach propagandy. Pewna pani doc. z UJ zdziwiła się, gdy jej dowiedziałem, że granica polsko-niemiecka była najbardziej stabilna w dziejach. Z ogromną trudnością przyszło jej to zrozumieć. I ogromna masa Polaków uległa takim wpływom propagandy. Trzeba przecierać tę świadomość od nowa.

Nie chciałbym, żebym był źle zrozumiany w dziedzinie mitów narodowych. To, co jest pozytywne, zbliżone do prawdy i podnoszące na duchu, nie w sposób sztuczny, ma być kultywowane. Druga sprawa, to leczenie się z choroby zachodniej, profrancuskiej w szczególności.

X. Choroba profrancuska chyba już w narodzie polskim nie istnieje...

S.G. Jeszcze się jej trochę płacze: Z publikacji historycznych, zwłaszcza francuskich, które uważam za obiektywne, widać, jak cyniczna była polityka Ameryki wobec Polski.

X. Polityka w ogóle jest cyniczna.

S.G. Tak, ale to zrobiła Ameryka, jest swego rodzaju "szczytem". Zachód liczył na to, że nasza "Solidarność" rozłoży blok wchodni, że zastąpimy ich w działaniu i oni będą mieli "kłopot z głową". I stąd było to olbrzymie poparcie. Potem nastąpił grudzień. Na posiedzeniu w Brukseli /Ministrów spraw zagranicznych

NATO/, które odbywało się 13 grudnia /wiem o tym z relacji Ministra Spraw Zagranicznych Irlandii, z którym miałem okazję potem rozmawiać/, gdy usлыszano o wydarzeniach w Polsce, zrozumiano z nich jedno: Jaruzelski rozpoczął wojnę przeciwko Rosji. Wobec tego Clode Cheysson powiedział: chwala Bogu, zaoszczędzimy na tym interesie jedną atomową łódź podwodną. Mielіśmy w programie dwie, teraz wybudujemy tylko jedną.

Pan powiada: każda polityka jest cyniczna. Właśnie to trzeba uświadomić ludziom, w każdym razie kadrze.

X. _____ W tym rozważaniach - wydaje mi się - tkwi pewien błąd. Sądzę że to, co działo się i dzieje u nas w Polsce jest czymś tak szalonym, że nie tylko my tego sami nie zaszufiadkujemy /bo jesteśmy za blisko/ ale i nikt inny w Europie nie potrafi tego określić jednoznacznie.

M. _____ A czy Pan odczuwa potrzebę określenia tego?

X. _____ Uważam, że określenie tego będzie dla nas tą alternatywą, której szukamy. To, co się działo u nas po Sierpniu było wyjściem z tego ślepego zaułka, że jest kapitalizm i socjalizm, było szukaniem tego czegoś, czego jeszcze nikt nie znalazł, tej trzeciej drogi. Próbowano to robić Chile, próbowaliśmy my w Sierpniu, kiedy nam się wydawało, że może ten system jest reformowalny. To nie ma wcześniejszych odniesień w historii, to jest coś tak nowego, że nawet b. precyzyjne rozważania historyczofizyczne w tył nie dadzą nam odpowiedzi i nie zarysują w żaden sposób przyszłości. Ja się zgadzam z tym, że to nowe, co może kiedyś powstać, będzie b. głęboko tkwiło w dziedzictwie kulturowym, natomiast będzie to rzeczywiście nowe.

Wojtek _____ Może bym tę dyskusję nieco skanalizował i spłycił. Odnieśli bym się tylko do kilku problemów: romantyzm - pozytywizm, jaki program mamy mieć. Wydaje mi się, że jednak - jak byśmy się nie deklarowali - to wszyscy tu siedzący jesteście romantykami, i to jeszcze takimi "zakutymi". Frasyniuk powiedział, że gotowość do poniesienia ofiar pomaga pokonać strach i pozwala na działanie. A to jest chyba w nas wszystkich zakaszczone, skoro podjęliśmy się działania, które może spowodować to, że nie będziemy mogli toczyć takich dysput przez wiele, wiele lat - i z tym się wszyscy liczymy. A więc jesteście romantykami. Romantykami jesteście też dlatego, że ta dyskusja w tej chwili - gdy rozbiegamy to imperium sowieckie, łączymy się w bloki /germanofilskie, prosoyjskie, antyfrancuskie i jeszcze inne/ na to wskazuje.

Mówił Pan /do Grudy - przyp. red./, że należy wszczepić naszemu działaniu pozytywizm a wykluczyć romantyzm. Ja - dzięki Bogu - pozytywizm mam już za sobą; przeszedłem go w okresie gierkowskim. Pozytywizm w jakimś romantycznym ujęciu jest potrzebny, ale pozytywizm widziany czysto /doskonale się, różnym więcej, lepiej/ w naszych warunkach jest prawie że niemożliwy. Tworzyły się w dawnych okresach kadry inżynierskie np., ale w normalnych zakładach; tworzyły się kadry administracyjne, ale też w jakichś normalnych urzędach. A u nas? Nasz inżynier musi mieć wyjątkowe szczęście, żeby po paru latach pracy jeszcze zostać prawdziwym inżynierem - już nie mówiąc o ekonomistach czy urzędnikach. Większość ludzi będzie się więc kiedyś musiała uczyć wszystkiego od początku. Jak ten pozytywizm dziś państwo widzicie - nie wiem.

Jeśli chodzi o program to wydaje mi się /to moje osobiste zdanie/, że nie możemy liczyć na siły zewnętrzne /na jakichś Francuzów, Anglików, Rosjan Niemców/ - wszystko co ewentualnie zrobimy, musimy zrobić własnymi rękami. Moim programem jest powielenie siedzących tu romantyków w setki i tysiące romantyków. To jest program na teraz. Nie rozbieganie Rosji, tylko wybieranie z naszego społeczeństwa romantyków czyli ludzi, którzy są po prostu gotowi do poniesienia ofiar. Czy to będzie kiedyś ofiara krwi?

Państwo uważacie, że abegadurka nie, że nie może taka rzecz nastąpić, ale ja nie wiem, czy nie nastąpi. Jeśli tych romantyków będzie kilka-nastęie tysięcy, czy kilkaset tysięcy, czy kilka milionów, jeśli nasz program znajdzie aż takie uznanie w społeczeństwie /oczywiście mówię o programie politycznym/, to te nastroje trudno będzie spacyfikować i być może będą bardziej radykalne, niż reprezentujemy je w tej chwili. Na pewno trzeba będzie przygotowywać kadry. Ja się z tym zgadzam w zupełności, że kadra musi być przygotowana, bo gdy ta wizja, którą gdzieś tam staramy się zobaczyć, spełni się, gdy ta Polska, w tej postaci, w jakiej chcielibyśmy ją widzieć, powstanie, to oczywiście, że muszą być ludzie, że muszą być przynajmniej zarysy programu, dopracowane, przedyskutowane, żeby już wtedy nie zastanawiać się nad tym, czy zabieramy Łwów a oddajemy Wrocław czy coś innego. Może zresztą to nietrafny przykład - rzucam po prostu takie hasło.

Uważam, że jednak w tych rozważaniach absolutnie nie możemy nie zauważać mas, zwłaszcza robotniczych. Jeśli będziemy się obracać tylko w gronie inteligencji czy superinteligencji, to ohyba się wyalienujemy. Pracowałem dużo z ludźmi, bezpośrednio, na budowach i wiem, że wśród tych prostych robotników jest duża grupa, która jest wartościowa, lecz jednak trzeba do nich dojść z jakąś popularną literaturą, których trzeba umiejętnie przyciągać. To ci ludzie tworzyli ruch "Solidarności". Zgoda, że głównie na zasadzie negacji. Ale ten ruch na nich wyrósł, bez tych ludzi "Solidarności" nigdy by nie powstała. Także bez tej młodzieży, którą i ja w pewnym momencie uważałem za kompletnie bezwartościową. A jednak okazało się, że ta młodzież wie, co to jest patriotyzm...

Ł. _____ Tak, ale czy w ostatecznym rachunku ona wiedziała?

W. _____ Nie wiem.

J.B. _____ Ona nie wiedziała, że wie.

Ł. _____ Ciągłe zarzuca mi się, że przedkładał budowę kadry i bawę nad bieżące oddziaływanie na społeczeństwo. Uważam jednak, że poprzez nas ono tylko wtedy, jeżeli będzie widziało w nas siłę. Najlepsza ideologia, bez oparcia w odpowiedniej bazie, nie stanowi dla tego społeczeństwa w tej chwili nic. Dlatego, że druga strona ma argumenty nie do odrzucenia: może coś temu społeczeństwu zabrać.

J.B. _____ Zważmy jednak, jak krótki jest ten czas pozytywnego oddziaływania na społeczeństwo. Przecież niezależne publikacje nie ukazują się w Polsce od 40 lat. Wszystko to trwa dopiero parę lat.

Ł. _____ My tego oczywiście nie zaniechamy i będziemy rozwijać, natomiast nie może to - moim zdaniem - stanowić podstawowego kierunku działania.

X. _____ Jeżeli będziemy tworzyć kadrę, to musimy ją społeczeństwu w jakiś sposób zareklamować...

Ł. _____ Wydaje mi się, że dyskutujemy w tej chwili nad problemem, którego nie ma. Oddziaływanie na społeczeństwo ważne jest oczywiście zawsze, tylko nie wiem kiedy zaczniemy zbierać owoce tego oddziaływania - choć to ziarno musimy w tej chwili siać, oczywiście. Ale musimy też mieć coś więcej do zaoferowania.

Nikogo nie trzeba przekonywać, że komunizm r'e jest najlepszą formą organizacji społeczeństwa. Powtórzę słowa Władka - róbmy plan działania, konspekt. Program to jest nasza obsesja od 2 lat, podsycona przez środki masowego przekazu, które powtarzają: opozycja nie ma żadnego programu. Przepraszam: a oni jaki mają program? Żaden. Powtarzają wyświechtane

ne hasła. Jaki jest ich program? "Kierownicza rola"? "Lenińskie zasady"? "przyjaźń i sojusz z Wielkim Bratem"?

Musimy stworzyć program. Ale chyba nie programu typu "Niepodległości", bo powtórzylibyśmy też wyświechtane hasła, tyle że odwrócone o 180 stopni.

X. _____ Może zrobimy więc negację tego, co oni proponują, a będzie dobrze?

Wł. _____ Tę sprawę dyskutowaliśmy wielokrotnie. Nie jest łatwo o program, bo nie mamy żadnej pewnej bazy do ekstrapolacji: nie wiemy przecież co i jak zmieniać się będzie w ciągu najbliższych lat.

J.B. _____ Musimy się nastawić na konkrety, na wyślenie racjonalistyczne. Musimy wiedzieć o z e g o o h o c e m y . Czas nadchodzący trzeba wykorzystać na tworzenie faktów dokonanych. W swym działaniu musimy wykorzystać wszystkie doświadczenia niedawnej przeszłości - i z okresu działania "Solidarności", i z okresu pogrudniowego i także z lat poprzedzających Polski Sierpień. Oczywiście, że ważna jest praca u podstaw, że ważne jest tworzenie kadry /szkolenie kadry, choć może nie w tak romantyczno-patetycznym ujęciu jak o tym mówi Bratkowski/. Ważne jest oczywiście szerzenie wiedzy /każdy z nas w końcu to robi/, ale jednak najważniejsze jest TWORZENIE FAKTÓW DOKONANYCH.

Ł. _____ Żeby szerzyć wiedzę, musimy mieć środki techniczne. Żeby zdobyć środki techniczne, musimy mieć kadre, która nam te środki wytworzy: im lepsza będzie kadra, tym szersze będzie nasze oddziaływanie. Wszystko to jest wzajemnie uwarunkowane. Organizacja kadrowa - oto co będzie mogło efektywnie oddziaływać na społeczeństwo. Potrzebna jest organizacja kadrowa, która będzie przygotowana do działania w każdym wariantcie rozwoju sytuacji. Gdyby Jaruzelski przed grudniem 81 oddał władzę w ręce "Solidarności", to po trzech miesiącach ten nowy rząd by się wyłożył, bo był oalkowicie nieprzygotowany do swej roli.

J.B. _____ W normalnym państwie muszą być związki zawodowe, ale muszą też być partie polityczne. Nie ma zdrowego, normalnego państwa bez partii politycznych. Sprawa władzy, to jest sprawa polityki, sprawa partii politycznych. To są normalne mechanizmy: musi istnieć grupa ludzi, która wyraża poglądy /swoje, społeczne/, walczy o uznanie dla nich. I jest też krąg zagadnień socjalnych, związkowych. I są ludzie z temperamentu związkowcy i z temperamentu politycy. Potrzebni są i jedni i drudzy. I jedni i drudzy muszą znaleźć ujęcie dla swoich ambicji.

Władek _____ Cóż... to by może było - "na tyle"... Nie wiem czy ta wymiana myśli coś dała... Przekonamy się o tym podczas następnej dyskusji.

P A S S É

Jednym z powodów dezorientacji ludzi narażonych dziś na oddziaływanie wszechobecnych środków przekazu - niekiedy zaś przy czyną sporów towarzyskich lub wewnętrznej ambiwalencji u osób szanujących własne przywiązania, sympatie i oceny - jest niewielka, ale dobrze ekapponowana grupa felietonistów. Poddajmy ten fenomen prześwietleniu myśli zdyscyplinowaną.

Epoka propagandowego "odprężenia" w latach siedemdziesiątych umożliwiła utworzenie kilku publicznych przyozóków myśli żywej, nieskrępowanej doktryną, myśli zdolnej do ujawnienia własnych przesłanek i najdalszych konkluzji, oraz upoważnionej do głoszenia wniosków zgodnych ze społecznym odczuciem i zdrowym rozsądkiem, a niekoniecznie słusznych z doktrynalnego punktu widzenia.

Obszar, na którym działały "umywały wywołone od błędów i wypaśnię", nie był bynajmniej dowolny. Przeciwnie, podlegał rozmaitym ograniczeniom, co do zakresu tematyki, zasięgu oddziaływania czy też stopnia szczególności analizy, atawizując w naszym piśmiennictwie rodzaj objętego ochroną matecznika, ale i reliktu niegdysiejszych czasów. "Tak kiedyś wyglądało życie umysłowe, spontaniczne i pyszne, przypadkowe i przepojone woli ntaryzmem jak przyroda... A dziś tyje my inaczej, świadomie i celowo tworząc scaloną opinię publiczną - owoc rozwiniętej cywilizacji."

Owo hipotetyczne motto, przyświecające być może tworzeniu enklawy felietonistów, nie zostało jednak nigdy ogłoszone, dlatego też znakniemi świeżej myśli i cierpkiego, lapidarnego słowa czytelnicy łatwo mogli przeoczyć zabytkowy charakter tej instytucji. Barcowników publicystyki uważano za prekursorów nowego, ich wyczyny z całą sympatią przyjmowano jako zapowiedź lepszego, pożądanego ładu. Nie dopuszczano myśli, że jest to w istocie rodzaje pasa konwencji w turystyce intelektualnej. Mile sercu i pożyteczne, ale tylko hobby.

Daleko posunięta autonomia kilku wiodących nazwisk w zakresie tropie-

nia przemian obyczajowości i mentalności regionalnej /KTT/, prezentacji meandrow marginesu oraz jaskrawej egzotyki codzienności /Urban/, inteligentnego szyderstwa z tzw. warszawskich salonów /Passent/, czy bezkompromisowej rozprawy z propozycjami i "pseudowartościami" kultury światowej /Kaluszyński/ - utrudniała zrozumienie, że rewiry polowań właściwie tym snajperom intelektu obejmują jedynie pewną sferę rzeczywistości.

Przenikliwe myślenie felietonistów, oraz ich precyzyjny, a cięty zwykle język, podbiły serca zbrzydzonych drętwą mową czytelników, wywołując zarazem ulubionych autorów niedzielnych na świecie czczeni. Nie można nie uznać poważnej roli, jaką w latach 70-tych ta "oświecona publicystyka" odegrała przy formowaniu stylu myślenia i systemu wartości pewnej części publiczności czytającej, dawniej zwanej inteligencją.

Intelektualnie sprawni, widoczni i dobrze nagłośnieni, a nadto przyjmowani z dużą dozą sympatii oraz zaufania - byli ważnym czynnikiem opiniootwórczym w zakresie myślenia o sprawach ducha, kultury i odciennej ludzkiej krzątaniny. Nadawali ton studenckim rozmowom, wypełniali treścią towarzyskie spotkania i przyjęcia, modelowali inteligentnie myślenie. Łaskawili też zwrócić uwagę na życie publiczne, dekretnie niajako skale doniosłości zjawisk kulturowych i sankcjonując tym samym wyłączenie obywatelskiej sfery egzystencji współczesnego Polaka poza dziedziczą godną nawiązań i duchowego mozołu.

Publiczny wymiar jednostkowego życia został zamknięty w opłotkach obyczaju, mentalności, życia rodzinnego, konsumpcji kulturalnej. Stosunek między obywatelem a państwem w ramach cichej zgody ułożono w interpersonalną relacją typu: pokorny potent - nadęta urzędniczka, arogancki klient - ciężarna sprzedawczyni, lub

co najwyższej rolnik - naczelnik gminy. W ten sposób uspołeczniona została prywatna sfera ludzkiego życia. Pozbawiono nas egzystencjalnej in- tymności.

"Jakie są pani najskrytsze marze- nia? Z czego żyje Kowalaki? Czy mąż pije? Co sądzicie o sztandarach Hasióra? Jakie hobby ma naczelnik wydziału? Czy sąsiedzi są kulturalni? Czy macie państwo czas dla dzieci? Czy macie dobrych kolegów w bryga- dzie? Ile czekaliście państwo na spółdzielcze mieszkanie?" - Oto ty- powe motywy dociekliwości dzienni- karza, lub konkretności publicyisty, ukazujących w ten sposób problemy, konflikty i rzeczywiste uwikłania w postaci zreprivatyzowanej, a więc w izolacji, która uniemożliwia anali- zę istotnych, najczęściej struktu- ralnych przyczyn jakiegoś stanu rze- czy.

Zupełnie syntetyczny, właściwą ozłowie- kowi wysyłacemu potrzebę ujęć całos- ciowych zaspokajano natomiast na po- ziomie globalnym. "Czy jest pan za pokojem? Czy należy przypuszczać, że sztuki plastyczne znajdują się w nieusuwalnym kryzysie? Co pan myśli o zapędach określonych kół? Powiedzi- cie dzieci: kto jest naszym najlep- szym przyjacielem? Co państwo sądzą o problemie eutanazji? Albo inżynie- rii genetycznej?"

Ujęcia mikro- albo makroskopowe / remont restauracji resp. zagrożenie planety/ oraz oalkowity brak obserwacji struktur państwa i zasad organiza- cji życia kraju gołym, nieuprzedzonym okiem, z odległości dobrego widzenia. Stąd niemożliwość określenia rzeczy- wistych przyczyn zła i dążenia do ich eliminacji. Stąd redukcja tego, co pu- bliczne, istotne, pierwotne, do tego co prywatne, przypadkowe, pochodne. Zamiast obywatelskiej debaty o spra- wach publicznych, publicystyka o uspo- łecznionej prywatności obywateli. A wszystko po to, by zneutralizować zdolność myślenia dociekliwego, aby odwrócić uwagę od tematów tabu, czyli "niepodważalnych zasad", by nie dopu- ścić do powstania krytycznej porcji e- nergii duchowej. Do kumulacji siły, która nieuchronnie wyzwała.

U podstaw instytucji niezależnego fe- lietonisty musiała leć następująca

przesłanka: jeśli nie udało się powszechnie zaszczerpić dogmatyz- mu, czyli wypłenić odruchu myśle- nia konkluzyjnego /t.j. domyślanie konceptu do końca/, to należy tę niesformną aktywność umysłową umie- jętnie okiełznać, aby kwitła na zasadzie stu kwiatów, nie zagraża- jąc jednak jedynie szusznym korze- niom drzewa poznania. Dlatego też myśli pokornie hołdującej rygorom "czysto" formalnej poprawności /archaiczna logika wraz z feudala- ną zasadą wyłączonego środka/ oraz "niewystarczającej dziś" meryto- ryzycznej trafności woła zajmować się moralnością środowiskową, sty- ką zawodową, estetyką teoretyczną, obywatelstwem regionalną, seksem wyzwolonym i kinem komercyjnym /na Zachodzie/ oraz miłością ro- dzinną i filmem oświatowo-wycho- wawczym, krótkometrażowym /u nas/.

Natomiast problemy poważne, pryncypialne, takie jak: funkcjo- nowanie państwa i gospodarki, rea- lna struktura władzy, stosunki między państwem a Kościołem, spo- łeczny mandat organów przedstawi- cielskich, praworządność i stano- wienie prawa, sojusze, interesy, ideologia itp. pozostały domeną sprawdzanej, nowoczesnej myśli zdialektyzowanej.

Tu dochodzimy do sensu sprawy i powracamy do felietonistów. Mnie- mana autonomia, czyli źródło ich popularności, pochodziła z nada- nia; była więc tej samodzielności ciekawym i zaprzeczeniem. Swo- bodne wypowiedianie się, formulo- wanie własnych sądów, głębokość analiz - wszystko było ograniczo- ne doborom tematów, stopniem dają- cym się przewidywać /dobór perso- nalny/ stosowności poglądów, wre- szcie - co najbardziej drażliwe - faktem, iż o c z e k i w a n o o od nich realizacji owej swobody wypowiedzi. Pożądanego sprzeciwu nie jest sprzeciwem, zaplanowany non- konformizm też nim być przestaje. Zlecona niezależność jest różno- znaczna z zależnością od zlecenie- dawcy.

Ladunek rzeczywistego krytycyz- mu, który przecież pojawił się w tych felietonach i, jako zgodny z powszechnym odczuciem witalny

był entuzjastycznie przez czytelników, nie był jednak ani wynikiem rosnącej emancypacji piszących /jak obcieli optymiści/, ani też przejawem ich ograniczonej niesubordynacji /jak sądzili pesymiści/, lecz po prostu - teraz widać to z całą oczywistością - był już orężem innej frakcji, która dynamizmie parła do władzy. Zasadnością istnienia takich aliansów w obrębie przepojonej przeciwieństwami no-polityczną jednością partii, której sam statut wyklucza już jakąkolwiek frakcyjność, piętnując z równą mocą sekciarstwo wszelkich maści - zajmować się tu nie będziemy.

Natomiast najlepszym dowodem zaangażowania obojczych felietonistów w proces socjalistycznej odnowy ekipy rządu jest nawet nie tyle fakt ich - co najmniej - pozostania na ekspansywnych pozycjach organizatorów narodowej wyobraźni, ile dość radykalna zmiana tonu wystąpień i wydźwięku tekstów, co przy zachowaniu właściwej im dotąd, dobrze wytrenowanej dykcji, przynosi nieocenione efekty humorystyczne.

Trudno przecież komuś wychowanemu na geometrii euklidesowej i w oparciu o jej narzędzia - wyjaśniać zawiłości systemu Łobaczewskiego. Nie sposób też komuś, kto nad wypracowaniem indywidualnej i wyrazistej stylistyki trudził się latami, tak sobie, z lekkim sercem, pozbyć się jej kolokwialnej jedności czy charakterystycznego leksykonu. Niełatwo także notorycznemu szydercy wydobyć z siebie spłz patosu, a błyskotliwym sztychom nadać powab pieśczoły. Niezręcznie - saprawionemu w racjonalnej krytyce - chwalić bez umiaru i na wyrost, albo wys-

miewać się z nazwiaka np. Ciaputa temu, kto jeszcze niedawno zrywał się na samą myśl o dyskryminacji facetów ma to tylko, że ich nazwiska kończą się na Bajm, lub zaczynają na Berg. Smutno wreszcie takiemu, który przez trzydzieści lat przyzwyczaił się do maski liberała i hecownika, a tu nagle psikus historii odsłania mu twarz in kwizytora i komisarza.

Można - oczywiście - współczuć felietonistom; trzeba jednak dokładnie zrozumieć co, jak i dlaczego robią. W przeciwnym razie przestaniemy rozumieć samych siebie. I trudno będzie nam pojąć, jak to się stało, że człowiek, u którego oeniło się sposób myślenia, poglądy, odwagę, bezkompromisowość, krwistość stylu, błyskotliwość, dowcip, nonkonformizm, rozległość horyzontów oraz tolerancyjność, człowiek - którego się szanowało i lubiło, nagle mówi oś, czego nie daje się słuchać bez bólu brzucha, zawrotów głowy i podryżzonego ciśnienia.

Przestaliśmy - ~~z~~ nadobnie. Inne czasy, inne ścieżki. Także inne myśli. Niektóre nazwiska zniknęły z gazet bądź tygodników. Brakuje wielu tytułów, zniknęły też niektóre felietony. Ale te - akuratnie - są. Jednak lektury prasy, o ile się ją w ogóle czyta, nie zaczynamy już od stałych felietonów.

B y l o , m i n ę ł o .

Wicek i Wacek

Nie skryje diabeł końskiego kopyta .

/ stare polskie przysłowie /

KREMLOWSKI CYRK

Słowo "cyrk" nie może nie paść, gdy na chłodno rozważymy to, co działo się i dzieje na Kremlu w ostatnim czasie. Trzykrotna zmiana władców i towarzyszące temu zjawiska ukazały cyrkowi właśnie charakter władzy w kraju zwiędniętego socjalizmu. Nie jej istoty, ale zewnętrznego otoczenia i towarzyszących mu rekwizytów. Pokażmy to na przykładzie trzech ko- lejnych aktorów - "numerów" tego samego cyrkowidziwiaka.

Numer pierwszy: Lonia Breżniew - wierny leninowiec

18-letnie panowanie Loni zakończyło się w listopadzie 1982 roku. Ostatni okres tego królowania upamiętnił się bezprzykładną fizyczną degra- lądą władcy, coraz dłuższymi jego absencjami w syciu publicznym i co- raz intensywniejszymi domysłami na temat jego następców. I niewiarygod- nym rozkwitem sztuki politycznego cyrku.

Szefem partii Breżniew został w październiku 1964. Na początku była apologia "kolektywnego kierownictwa" jako reakcja na krytyczne skupienie przez obalonego Nikitę Chruszczowa pełni partyjno-rządowej władzy. To się już nigdy nie powtórzy - zapew- niała propaganda, a harmonijna "trój- ka": Breżniew, Podgorny, Kosygin, symbolizowała "zbiorową mądrość" pa- rtii. Zapanowała demokratyczno-rów- nościowa euforia, demokrację w jej różnych odmianach pogłębiano, dosko- niono, umacniano, poszerzano wazersz i podnoszono na wyższy poziom, a por- trety członków politbiura w czasie a- kademi i publicznych manifestacji prezentowane tylko w porządku alfab- etycznym.

Aliści nie mogło to trwać długo, gdyż demokracja nawet na najwyższych szczytach tej władzy jest czymś nie- naturalnym, bo wszyscy są tu wpraw- dzie równi, ale jeden ma być zawsze najrówniejszy. I wcześniej czy póź- niej "natura" musi dojść do głosu. Pod koniec lat 60-tych Breżniew roz- począł wytrwały marsz ku samodzier- zaw, a "dniepropietrowska mafia"/gen- sek urodził się w Dnieprodzierżynsku k/Dniepropietrowska/ w wyniku konesek-

wentnie realizowane "polimajaczej czystki" eliminuje konkurentów skupiając coraz większą władzę w- swym ręku. W 1977 roku idzie w od- stawkę przewodniczący Rady Najwyż- szej Podgorny, zwolnione miejsce zajmuje Breżniew. Po upadku Chrusz- czowa - dla uniknięcia koncentracji władzy, jakiej on się dopuścił - przyjęto prawo zabraniające łącze- nia stanowisk szefa partii i rzą- du. Życie, a raczej "natura" dyk- towała teraz konieczność jeśli nie anulowania, to obejścia tego zakazu, więc w 1978 roku wydano dekret o "kolektywnym charakterze pracy Rady Ministrów". Nie wystarczyło więc, że Rada Ministrów jest i tak "radą", musiała jeszcze stać się "kolektywną". Nie była to wszakże jedynie językowa operacja: "kolek- tywizacja" premiera oznaczała, że odąd władza Kosygina ma już deko- racyjno-techniczny charakter. Dzieł- ki dalszym legislacyjnym zabiegom breżniewistów na najważniejsze kompe- tencje rządu przeszły do Rady Naj- wyższej. W ten sposób, szanując litere prawa, Breżniew nie został, bo i nie potrzebował zostawać pre- mierem, faktycznie przejmując wszystkie jego prerogatywy, sta- jąc się głową partii i państwa.

Zostając gensekiem dobiegał 60-tki, był jeszcze w pełni sił i mógł sobie pozwolić na kumula- cję władzy w dłuższym okresie cza- su. Osiągnąwszy wszystko był już całkowicie niedolężnym starcem. Ze- granicznymi dziennikarzem, politycy i przygodni obserwatorzy kremlowskiej arany dostarczyli chyba komplet in- formacji o fizycznej degradacji Le- onida Iljicza: jak nie może się po- ruszać, nie jest w stanie wyjść po- schodach, nie potrafi utrzymać w- ręku długopisu, jak stale towarzy- szą mu dwie karetki reanimacyjne itd., itp. Ta medyczno-dyplomatycz- no-plotkarska kronika zapewniła większość idącego z Moskwy serwisu informacyjnego. Na tej kanwie, wy- rosły tysiące kawałów, anegdot, ka- lamburów. Będąc na Zachodzie /by- jak się Czytelnicy domyślają, ode- brał z biura Centralnej Agencji Wywiadowczej materiały i środki dla "Myśli Niezależnych".

miałem okazję kilkakrotnie widzieć filmowe zblizenia twarzy Breźniewa. Widok wprost makabryczny!

Od tego momentu w całej krasie i barokowym przepychu rozpoczyna się cyrkowe widowisko - kult przywódcoypóitrupa. Od rana do wieczora trwa w mass mediach coraz bardziej nasilająca się adoracja Leonida Iljicza, który "uczy", "wskazuje drogę", "daje przykład" narodowi i partii. Każde jego przemówienie jest historyczną chwilą, zawsze zawiera "głęboką analizę" współczesności. Człowiek radziecki jest non stop przekonywany, że świat wsiłuchuje się uważnie w słowa Leonida Iljicza, o czym świadczą mający cytaty z panegirycznych artykułów prasy mongolskiej, bułgarskiej, NRD-owskiej. Jeśli nawet czasem wymienia się partię, KC lub politbiuro, to zawsze "pod mądrym kierownictwem" Leonida Iljicza. Również dytyrambów i to bezustannie: Leonid Iljicz, Leonida Iljicza, pod Leonidem Iljiczem... tworzą jakiś narkotyczno-hipnotyczny stan. Sam mistrz nad mistrze w swym fachu, Joseph Goebbels, opuściłby chyba ręce z zachwytu przed czymś podobnym.

Wdzięczny naród niemal na klęczkach oddaje hołdy swemu naucoycielowi. Jest on coraz częściej obсыpywany honorami, zaszczytami, odznaczeniami, zostaje absolutnym rekordzistą - "ordienonoscem" gromadząc ponad 200/1/ najwyższych krajowych i zagranicznych odznaczeń. Zostaje marszałkiem i głównodowodzącym armii, choć stan jego umysłu predystynuje go już chyba tylko do bawienia się ołowianymi żołnierzami, o jego sukcesach frontowych było na ogół cicho, a tu marszałkowski mundur genseka przysiodobilo - policzono to dokładnie - 80 bojowych odznaczeń, podczas gdy największy dowódcą II wojny światowej marszałek G. Żukow, miał ich tylko 46! I nie mogło nie stać się oczywistością, że to właśnie Leonid Iljicz zadawał śmiertelne ciosy III Rzeszy.

Ale to jeszcze nie wszystkie laury. Zramolowały Lonia okazał się Szekspirem we władaniu artystycznym słowem. Gejzer jego literackiego geniuszu z największą mocą sikuął w 1978 roku w trylogii: "Mała ziemia", "Ugór", "Odrodzenie", za którą wdzięczny i zachwycony naród uhonorował Najjaśniejszego Autora nagrodą leninowską. Przewodniczący

Związek Pisarzy, G. Markow, odkrył na Łanach własną masę detektu "Litteraturnoj Gaskety", iż dlatego towarzysza Breźniewa przepiękna najłepsze strony "Wojny i pokoju" Iwa Tokatowa. Czy to nie fascynujące: krabia z Jasnej Polany tylko niedotrze strony miał "najłepsze", a Leonid Iljicz - wszystkie! Miliony egzemplarzy trylogii zalegały rynek, pojawiło się tysiące scenicznych, radiowych i filmowych adaptacji, aktor Włoczesław Tichonow czytający fragmenty niesłuchalnych arcydzieł stał się najczystszy goścem małego ekranu, a działka szkolna i młodzież studencka baw pałkami wkurzając o detektywniach Leonida Iljicza, odczytując wiedzę z jego skromnych autobiograficznych wyznań.

Był to oczywiście poluz czynowy, widowisko przemoczone dla ludu, nazywanego tu tradycyjnie "nasami pracującymi", bo poza armią toczy się codziennie tydzie windy: trwa antarta i nie przebiegają w środkach walka klif i traktacji o wpływy, stanowiska i przywileje. "Dniepropietrowska mafia" jest coraz energiczniej atakowana przez konkurentów, świadomych, że konkarda widowiaka skierowana jest przeciw nie do nich, tylko do nabożnych i ciemnych mas. Na przykład 1981/82 lat po Moskiewie anemają krążyć śmiechy o kosmicznej korupcji, złodziejstwie, nadużywaniu stanowisk i ciemnych machlacjach, w które zamieszana jest rodzina Breźniewa. Zjawisko to atakują arcyformalne dla komunistycznej wierzchności, anormalne jest tylko mówienie o tym. Nikt przy zdrowych zmysłach i ze zdrowym instynktem klasowym nie będzie o jakiejś tam "moralności", bo każdy marksista wie, że moralnie - to warzywca Lenin przyprawiał tam truzim wielokrotnie - jest to, co należy proletariatu. A w tej antarktyce decydujący za partią, "amalgarda" tegoż proletariatu, Dlatego odwołanie się do takich anachronicznych pojęć, jak "moralność" może mieć i ma sens wyłącznie instrumentalno-polityczny, nigdy - moralno-etyczny. Nie chodzi o czyśćć obywateli, lecz polityczne zgnojenie konkurenta.

Tak postępowal jedni z antarktyk

do tronu, szef KGB Jurij Andropow, który zgromadził wiele ciekawych kar totek i niedyskrecji o rodzinie tego, który znajdował się jeszcze na ideologicznym ołtarzu, otoczony urzędowym kultem i czcią. W wyniku zainicjowanej przez Jurę kagiebesznika odnowy moralnej /PRON winien chyba szerzej czerpać z tego źródła! / popełnił samobójstwo zaufany Breżniewa i przyjaciel jego córki Galiny, a formalny zastępca Andropowa - Siemion Cwigm. Podobno - szeptano sobie w stolicy - braciшек Galiny, Jurij, też nie ma zbyt czyś - tych rączek i daleko mu do rewolucyjnej ascezy, którą wpaja się młodemu po koleniu. Te rewelacje i skandale spowo dowaly, że sukcesorem Breżniewa w listopadzie 1982 roku nie został, przynajmniej na razie, jego totumfacki Czer - nienko, lecz był szef KGB.

N u m e r d r u g i :
JURA ANDROPOW-kagiebesznik, skłonny do przeziębien

Gdy 5 marca 1953 roku świat dowiedział się o śmierci Stalina, radziecki naród był oszołomiony faktem, iż ten Nadzożo wiek mógł podlegać słabościom fizycznym. To nie żarty, takie reakcje przed trzydziestu laty nie były rzadkością. Od tego czasu zmieniło się sporo, ale do normalizacji jeszcze daleko. Gdy zmarł Andropow, moskiewscy przechoźnie, indagowani w tej sprawie przez zachodniego dziennikarza, reagowali z oburzeniem: "To hańba dla naszej medycyny! Żeby nie wyleczyć z przeziębienia!" Reakcja zrozumiała, bo naród informowano, że ostatnie pół roku gensek był nieobecny "tylko czasowo": "z powodu przeziębienia". Na parę dni przed śmiercią, gdy był już w agencji, zapewniano, że "już wkrótce" podejmie swe obowiązki. Czyż trzeba jeszcze dowodów na to, że w tym systemie politycznym słowa i "informacje" są symetryczną odwrotnością rzeczywistości? Po śmierci Andropowa wyszło na jaw, że cierpiał na pięć ciężkich chorób. Oficjalny komunikat lekarski był również zgodny z przyjętym kodem: gensek może chorować, ale tylko po śmieci, za życia służbowo przysługuje mu fizyczna i duchowa krzepa, symbolizuje on przeciw zdrowie całej partii oraz optymizm i rozkwit ustroju.

Jednak nie medyczne kurioza w tym numerze są najbardziej zajmujące. Wkrótce po objęciu tronu Jurij Władimirowicz

przeprowadza energiczną debreż-niewizację. Dopełniło się to, co jest rutyną w tym ustroju. Breżniewa - pamiętamy - ohowano jako "największego przywódcę współczesności", "wiernego leninowca", "pło miennego", "bez reszty oddanego" itd. Sama jednak telewizyjna relacja z uroczystości pogrzebowych świadczyła o rysach w fasadzie. Do grobu składano nie tylko zwłoki, ale i cały cyrkowy numer. Telewizyjni, radiowi i prasowi sprawodawcy bez końca jeszcze powtarzali, w jakiej "głębokiej żałobie" ta śmierć pogrzyła cały naród radziecki i wszystkie siły postępu na świecie, ale, jak ta żałoba wygląda wśród wyselekcjonowanych uczestników konduktu pogrzebowego, mogliśmy przekonać się nacośnie. Oto gdy nasi telewizyjni komentatorzy w Moskwie - Zdzisław Stankiewicz i Władimierz Stefanowicz - bezwzględnie papiali o "głębokiej żałobie, która okryła..."; na wizji kilkakrotnie widać było młodych ludzi coś sobie wesoło opowiadających. Zapewne kawały o zmarłym lub okolicznościach wyboru jego następcy...

Andropow uszykał przydomek "przywódcy leninowskiego typu", co automatycznie dale mu leninowski mandat do rozprawy z poprzednikiem - "wiernym leninowcem". Wszytko w zgodzie z czystością "leninowskich norm". Na pogrzebie Breżniewa Andropow uroczystie przy sięgał, że on sam jak i cały naród "zachowają w wiecznej pamięci" postać zmarłego, jego czyny i idee. Słowa dotrzymał, w swych de czyskach zawsze pamiętał o breżnie wowskiej spuściźnie: zwolnił ze stanowisk wielu jego współpracowników, potępił maras, immobilizm, rozprężenie dyscypliny, jakie zo stały po nim. Za kratki poszedł wieloletni minister spraw wewnątrznych i prawa ręka Breżniewa - Mikołaj Szezołokow, podobny los spotkał wielu wysokiich urzędników, surowej nagany udzielono KC partii republiki moldawskiej. Ten ostatni fakt był aż nadto wymowny, bowiem szefem zganionego KC był kiedyś Breżniew, który też swymi protegowanymi obsadził waszytkie stanowiska w Moldawii. Andropow tak dopieki rodzinie Breż-

niewa, że - według pogłosek - to właśnie Breżniew-junior miał spowodować jego półroczną nieobecność strzelając doń kilkakrotnie.

Bolater pierwszego numeru - gigant intelektu, wielki strateg wojenny i genialny pisarz okazał się, jak wszyscy zobaczyli, tylko szachrajem, zapobiegliwym mafioso organizującym pomyślność swego rodzinnego klanu. Nazwisko Breżniewa zniknęło z instruktażowych publikacji "Prawdy". Tak jakby nigdy nie było kadzidlanego dymu, pochwalnych hymnów, pompatoznych audycji, pieszczczenia się członków KC i politbiura, wiekopomnej trylogii 9-tomowego wydania dzieł Loni. Szybko posprzątano arenę ze starych rekwizytów i symboli, by zrobić miejsce dla nowego idola. Niestety, przeziębienie nie pozwoliło mu dopełnić wymogów scenarzysty. Nie zdążył napisać genialnych dzieł, w których niechybnie utarłby nosa Do stojewskiemu, nie poznaliśmy też najnowszej wersji Wielkiej Wojny Ojczyźnianej z jego decydującym udziałem.

N u m e r t r z e c i :
KOSTIA CZERNIENKO - bohaterski "po granicznik"

O nim wiemy najmniej. Tyle, że był cieniem Breżniewa, jego wiernym służką, lokajem i sekretarzem. Zawsze usłuszny, gotowy na każde zawołanie, zdyscyplinowany i punktualny. Takich lubią i tacy najrybniej robią karierę, najlepiej nadają się też do tego, by ucieleśniać zbiorową partyjną mądrość. Bo własna im w tym nie przeszkadza.

Gdy Czernienko objął sukcesję po Andropowie, Zachód zgodnym chórem stwierdził, że to najbardziej bezbarwna i szara postać na Kremlu. Ale to tylko w kryteriach burżuazyjnych, bo w socjalistycznym systemie wartości zalety Kostii są oczywiste. Osobliwością tegoż systemu jest totalna sekretność, której pochodną to tajemność biografii ożołowych działaczy. Tym łatwiej biografii taką preparować i "uzupełniać". Najlepiej do tego nadają się okrągłe ludzkie zera, przed którymi zawsze można postawić dowolną ilość cyfr.

Kostia ma bardzo mizerne konto po stronie zasięg, przez całe życie był na posyki u innych, grzebał się w partyjnej makulaturze instrukcji, uchwał, sprawozdań i przemówień. Nie tylko biurka, segregatory, telefony, sale posiedzeń i prezydja. Nawet w wojnie nie zdążył wziąć udziału. Ale przez pewien czas, do 1933 roku, służył w wojskach ochrony pogranicza. I tu właśnie znaleziono pierwszą heroiczną kartę w rozpoczętej twórczej obróbce biografii nowego genseka. Organ armii dziennik "Krasna zwiesta" zamieścił apologetyczny materiał o bohaterskich dokonaniach "pogranicznika" Czernienki: jakim był na tym posterunku niezrównanym przodownikiem wyszkolenia politycznego, wzorem dyscypliny i świadomości swych obowiązków w ochronie ojczyźnanych rubieży. Kto wie, czy dociekania postępowych radzieckich historyków nie doprowadzą do odkrycia w postępowych archiwach dokumentów świadczących, że - dla przykładu - tow. Czernienko brał ożywny udział w operacji berlińskiej. Kulturotwórcze mechanizmy tym czasem coraz bardziej nabierają rozpędu, nazwisko Czernienki wywołuje wśród uczestników narad, konferencji i manifestacji spontaniczną owację. Ręce puchną znowu od oklasków. Szybko stał się sternikiem i nauczycielem narodu. Ludzie pracy we wzruszających listach wyrażają radość i dumę z kolejnego wystąpienia Konstantego Ustinowicza, zapewniają, że czerpią z nich natychmiast do nowych zwycięstw w budownictwie komunizmu. Ta sama propagandowa sztanca, patetyczne epitety, stylistyczne stereotypy, hasła. Wciąż ta sama postyka cyrkowego widowiska. Tylko bohater się zmienił.

72-letni Kostia jest starszkiem o bardzo słabej formie fizycznej, z silną zadyszka, bełkot jego przemówień bywa prawie niekomunikatywny dla najbliższej siedzących słuchaczy, ma też trudności w poruszaniu się. Tym oryginalnie brzmią więc zapewnienia "Prawdy" i TASS-a, że głos nowego genseka rozlega się "donośnie", albo że on sam - ledwo stojący na drżących nogach - jest "nieugiętym" bojownikiem.

Został przewodniczącym Rady Najwyższej w dwa miesiące po objęciu partyjnego tronu. Breżniew potrzebował na to 13 lat, Antropow - 7 miesięcy. Przyspieszenie zrozumiałe, zwąwszy wiek, stan zdrowia, przywódcy oraz casus poprzednika, który nie zdążył skomunować nawet połowy należnej mu glorii. Trzeba się spieszyć, zgromadzić wszystko, co jest do zgromadzenia: stanowiska, zaszczyty i hojdy.

X I X

Trzy cyrkowe numery uświadamiają nam widowiskowy, rytualno-obrzędowy charakter kremlońskiej władzy. Jest to spektakl, forma, bo treść jest zupełnie inna. Gesty, słowa, pozy, dekoracje, magiczne zaklęcia to artystyczna fikcja: rzeczywistość komunistycznej władzy to świat całkowicie odmienny. Owe dwa światy pozostają do siebie najczęściej w relacji odwrotnie proporcjonalnej: im bardziej rzeczywistość ulega degradacji, tym większe przepychy maskarady. Breżniew stał się koryfeuszem pióra, gdy już nie mógł go utrzymać, myślicielem kreowanym go, gdy przestał pojmować cokolwiek. Podobnie z przywódczymi kompetencjami wojskowymi. To tak samo, gdybyśmy zestawili nroczyście slogany o "pokojowej polityce" ZSRR, a poszanowaniu przezeń suwerenności sąsiadów ze zbrojeniami, światową ekspansją, mordowaniem bezbronných afgańskich chłopów.

Zauważmy, jak ustrój reklamujący się "światopoglądem naukowym" staje się parodią religii, wprowadzając ją do zewnętrznych, jasełkowo-groteskowych przejawów. Nie gorzej to wygląda w kontekście urzędowej fasady marksizmu-leninizmu. To przeciw Marks potępił "Kult jednostki", a Lenin bardzo się wściekał, gdy na jego 50-lecie po jawiły się pochwalne hymny. Żyjący w królewskim przepychu i zakochany w luksusowych samochodach /miał ich 121/ Breżniew, bardzo często stawiał za wzór leninowską skromność komunisty. W ten sposób mamy już przez Orwella świetnie opisany świat rzeczywistości i niereczywistości, mowy i nowo-mowy, fikcji haseł, które "grają" same siebie, niczego nie reprezentując i o nich nie informując. Pełna samocobięga.

Znawcy przedmiotu dawno zauważyli, że formy radzieckiego "życia politycznego" wiodą swój rodowód z odległego źródła - Bizancjum z jego tradycyjnym przepychem liturgicznego ceremoniału i totalnym sformalizowaniem. Kremloński genesek, szczególnie gdy jest stary i niedołączny, to wierna kopia bizantyjskiego bazyleusa - marionetki obowiązanej dopełniać wszystkich drobniactw monstrualnie rozbudowanej etykiety.

A u nas? Też mamy cyrk. Choćby taki minister-rzecznik z łysą pałą i odstającymi uszami. Cała Polska wybucha na jego widok śmiechem i tylko nieliczni ponuracy sgrzytają zębami. Nie zapominajmy, że to przeoble zawodowy satyryk, dlatego rola ołowna tak mu leży. A minister od oen i "chrupiących bule - czek"? Jakaż niezwykła vis oemica emanuje z tej zatroskanej i "zamyślonej" twarzy. Albo słynny wicepremier "Mietek", etatowy biazan kolejnych dworów, z kwalifikacjami akrobaty-linoskoczka, który tyłu stronem dał swe "słowo honoru". Albo szef imprezy - Pinochet znad Wisły, którego następcą w roli ministra obrony określili jako "gorące serce i wielki umysł". Przecież oś takiego można powiedzieć i odebrać tylko w cyrkowej konwencji. Bicie gorącego generalskiego serca odczuwa wielu z nas, a płody jego wielkiego umysłu są aż nadto widoczne. A veteran profesor Jabłoński - manekin podpisujący wszystko jak leci: czy to dekret o emeryturach dla dygnitarzy czy o stanie wojennym? A sejm, a treszerzy "narodowej świadomości" z telewizji, a staruszkowie z PRON, a "wybory"? Istna beczka śmiechu, feeria masek, grymasów i gagów. Trwają tylko spory, jak precyzyjnie kwalifikować to widowisko. Według jednych to zwykły cyrk, drudzy upierają się, że teatr kukiełek. Pociąganych za sznurek z Moskwy.

Jest faktem bezspornym, iż rzecz to skomplikowana zarówno w konwencji artystycznej, w wykonawstwie i odbiorze. Niby o rozrywkę, śmiech, ale - jak to zauważył pewien klasyk - śmiech przez żzy. Stąd ten trudny dylemat stojący przed wielu rodakami: śmiać się, czy płakać?

Jędrzej Boruta

Wydawnictwo Myśli Nieinternowanej

informuje o

emisji serii znaczków "Więźniowie polityczni - Polska 1984". 28 znaczków w czterech bloczkach przekazanych zostanie do kolportażu we wrześniu 84 r. W przygotowaniu znajdują się dwa dalsze bloczki. Cena jednego znaczka - 40,- zł; bloczka - 300,- zł.

<p>KOR</p>  <p>ROLSKA 40zł</p>	<p>KOR</p>  <p>ROLSKA 40zł</p>	<p>KOR</p>  <p>ROLSKA 40zł</p>	<p>KOR</p>  <p>ROLSKA 40zł</p>
<p>WIĘŹNIOWIE POLITYCZNI</p> <p>ROLSKA '84</p> <p>Wydawnictwo Myśli Nieinternowanej</p>	<p>KPN</p>  <p>ROLSKA 40zł</p>	<p>KPN</p>  <p>ROLSKA 40zł</p>	<p>KPN</p>  <p>ROLSKA 40zł</p>

<p>WIĘŹNIOWIE POLITYCZNI</p> <p>ROLSKA '84</p> <p>Wydawnictwo Myśli Nieinternowanej</p>	<p>Szarytytuł</p>  <p>ROLSKA 40zł</p>	<p>Szarytytuł</p> <p>Piotr Bohorz Jerzy Kropiwnicki Patrycjusz Kaszkowski Janusz Polubicki Jacek Piniór Stanisław Handzlik</p> <p>ROLSKA 40zł</p>	<p>Szarytytuł</p>  <p>ROLSKA 40zł</p>
<p>Szarytytuł</p>  <p>ROLSKA 40zł</p>	<p>Szarytytuł</p> <p>Aleksy Maczarski Jan Kąkolwski Mieczysław Ryszard Jozak Grzegorz Lewicki Krzysztof Olschowski Henryk Czernomski Leszek Olski Stanisław Jaroż Artur Gualenczyk J. Kur</p> <p>ROLSKA 40zł</p>	<p>Szarytytuł</p>  <p>ROLSKA 40zł</p>	<p>Szarytytuł</p> <p>Jerzy Kowalczyk Ryszard Polonowski Aleksander Cielkowski Henryk Dobrzycki Em. Fabianowicz Cezary Godulik Jan Milek Wojciech Morawski Witold Rulik Herbert Rosner Zbigniew Kapłanowicz Ryszard Pawłowski</p> <p>ROLSKA 40zł</p>

Całość dochodu uzyskanego ze sprzedaży przeznaczona zostanie na cele mecenatu nad wszelką niezależną twórczością.

Zamówienia przyjmują kolporterzy.

WYDAWNICTWO informuje, że wyższa cena za bieżący, 13-14 numer pisma, związana jest ze znacznym powiększeniem objętości tego, wyjątkowo podwójnego numeru. Zmniejszenie objętości spowoduje oczywiście obniżenie ceny pisma.

Potwierdzamy wpłaty: Bastya - 500,- zł; XXX - 400,- zł; Wolność - 2000,- zł; Zycięstwo - 2000,- zł; oooo - 10600,- zł.

cena 90+10 / kolportaż /

Sierpień 1914...

Sierpień 1920...

